



# DZIS i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena zł 1,—.

Rok IX

Warszawa, 18 października 1953 r.

Nr 42 (412)

W NUMERZE m.in.:

KS. M. SUWAŁA — Różaniec święty  
 J. KOSIŃSKI — Gospodarcze problemy rozwoju Poznania  
 W. SOWIŃSKI — Wielki kancleż polskiego Odrodzenia  
 J. KRZYŻOŃ — O pisaniu opowiadań  
 J. KŁOSOWSKI — Łuna wolności  
 M. MILEWSKI — Kraj czarne-go piasku

Artur HUTNIKIEWICZ

## Dzienniki Żeromskiego

krytyczny, a zarazem zadowolający potrzeby i oczekiwania czytelnika nie specjalisty. Tekst początkowych 5 tomów, opatrzony w pełną aparaturę krytyczną, przygotowany został do druku przez prof. Borowego (t. I i II) oraz prof. Adamczewskiego (t. III, VI, i IX).

OTWIERAJĄC imponujący tom dzienników zadajemy sobie jedno przede wszystkim pytanie: co przyniosą one dla poznania człowieka i pisarza oraz dla lepszego zrozumienia jego twórczości. A w miarę jak zagłębiany się w tę pasjonującą lekturę, czujemy, jak wciąga nas ona w urzekający krąg ludzi, zjawisk i faktów tłumaczących istotnie wiele zagadek czy punktów nie dość jasnych lub wątpliwych i w Żeromskim człowieku, i w jego dziele.

Poznajemy przede wszystkim środowisko najbliższe, które ma zawsze tak doniosły wpływ na kształtowanie się osobowości. Dopiero dzienniki odświeżają nam w pełni wyjątkowo ciężkie warunki życia, z jakimi borykał się Żeromski od najwcześniejszych lat. Żeromski był synem zdeklasowanego szlachcica, chodzącego dzierzawami po niedźnych i mało intratnych majątkach. Gdy po jego śmierci właściciel dzierzawionej posiadłości ogłosił przetarg w „Gazecie Kieleckiej”, sumę czystego dochodu oszacował na 200 rubli rocznie. To wystarcza, by określić stopień życiowej trudności, o której wyobrazić sobie trudności, o której potykał się co krok uczeń kieleckiego gimnazjum. Żeromskiego raz po raz wyrzucają ze stancji i ze szkoły na skutek niezuiszczenia wymaganych opłat. Od najwcześniejszych lat parać się musiał „korepami” i guwernerką, użerać z krnąbrnymi i tępyimi pupilami. Ileż w tych notatkach szóstoklasisty bolesnych skarg na gorzki chleb korepetytora, istoty w owych latach w jakże dwuznacznym postawionej położeniu, bo będącej czymś pośrednim między gościem, domownikiem, rezydentem a sługą. „Ach! żyć ze swego grosza, jakież to szczęście!” — w tym wymownym okrzyku streszcza się cała istota sytuacji życiowej młodocianego literata <sup>in spe</sup>.

Obok warunków materialnych drugim źródłem udręki była szkoła ówczesna. Dzienniki są doskonałym uzupełnieniem, swoistego rodzaju pendantem do „Syzyfowych prac”, ukazując bez upiększeń artystycznych negatywną funkcję szkolnictwa rosyjskiego na ziemiach polskich w epoce Apuchtina i Hurki. Żeromski mówi z nienawiścią o tej szkole, co była n. rzędziem deprawacji i oglupiania, a że ta szkoła nie zachęcała do nauki, więc uczy się właściwie źle, powtarza klasy — ma lat 22, gdy z trudem do ciera do egzaminu dojrzałości, od którego zresztą odstępuje na skutek choroby i nikłych widoków powodzenia. Charakterystyczne, jak mało ma Żeromski do powiedzenia o swoich nauczycielach. Pomijając Rosjan musiały to być istoty bezbarwne i niczym się

pozytywnie nie wyróżniające, skoro przesuwają się poprzez karty dziennika jak cienie i martwe imiona. System deprawował jednostki słabe, a łamał skrzydła śmielszym i wartościowym. Jedynym wyjątkiem na tle tej monotonnej mierności był nauczyciel polskiego, Bem, znany krytyk i badacz literatury. On jeden obudził zdołał w młodzieży nie tylko szacunek i przyjaźń, ale miłość i uwielbienie. Bem odegrał doniosłą rolę w życiu przyszłego pisarza: dostarczał mu książki, zachęcał do twórczości, czytał i oceniał literackie pierwiociny wychowanka, a przede wszystkim oddziaływał ideologicznie postawą liberalną, demokratyczną, pozytywistyczną.

OLBRZYMIĄ rolę w rozwoju duchowym Żeromskiego odegrała lektura. Właściwie dopiero dzienniki ujawniają w pełni zakres jego fenomenalnego odczytania. Żeromski pożerał książki i to wszelkiego rodzaju. Nie sposób tu wymieniać wszystkich tych autorów, z którymi zetknął się młodociany entuzjasta literatury, jedno tylko warto podkreślić: szczególną predylekcję Żeromskiego do piśmiennictwa, hołdującego demokracji i republikańskiemu ideałom. Z tej skłonności wywodzi się kult dla Mickiewicza i Słowackiego przy pogłębiającej się w biegiem lat nieufnością wobec Krasińskiego; z niej brał początek entuzjazm dla Wiktora Hugo, który przemieniał się w młodych oczach w żywy symbol demokratycznych i republikańskich cnót; stamtąd szło uprzywilejowane stanowisko pisarza o wyraźnych skłonnościach radykalnych czy nawet libertaryńskich — takich, jak Węgierski, Heine, Brandes, Jokay, Bouckle czy Świętochowski.

Temu pożeraniu książek towarzyszyła niezwykła chłonność i zdolność prawdziwie aktywnego odbioru. Żeromski był czytelnikiem takim, o jakim marzą zapewne wszyscy pisarze: wrażliwym, subtelnym, namiętym, poddającym się chętnie i z całą młodzieńczą gotowością urokowi cudzej myśli i uczucia, zwłaszcza jeśli są podane w atrakcyjnej formie. Uderza w tych uczniowskich zapiskach wyjątkowa wrażliwość na piękno. Przyniósłszy któregoś dnia wypożyczony od kogoś tom niecenzuralnych utworów Słowackiego rzuca się chętnie do lektury. Przede wszystkim „Grób Agamemnona”, jego ukochany ponad wszystkie poematy. „Dziwne szaleństwo ogarnęło mnie całego, ręce zaczęły mi drżeć i Boże, mój Boże, jakżem ja wtenczas był szczęśliwy”. Po deklamacji jednej ze scen „Marii Stuart” czuje, że jest bliski omdlenia, nie może wstrzymać łez ku sztyderstwu kologów. „Przeglądałem — notuje w innym miejscu — dawniej czytając powieść Kraszewskiego pt. „Powieść bez tytułu”. Znow beczalem! Ale bo jakże nie płakać na widok takich obrazów, co zda się mówią do ciebie”. W teatrze na przedstawieniu jakiegoś zapewne melodramatu p. Soulie „Chatka pod lasem” znow płacze jak dziecko, gdy wokół

koledzy i starsi uczniowie szydzą z młodzieńczym cynizmem z najidealniejszych miejsc.

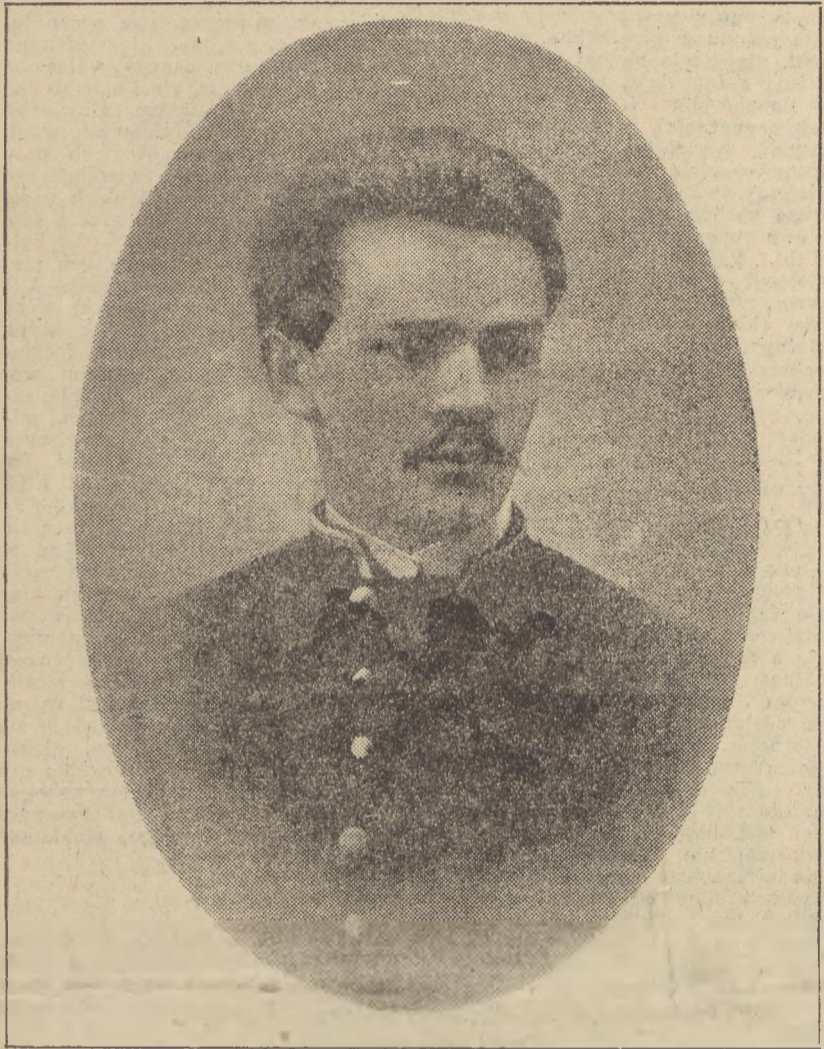
Z tym kultem sztuki łączyło się wysokie wyobrażenie o jej powołaniu. Z artykułu K. Kaszewskiego pt. „Scena” wynotowuje ustępy traktujące o misji polskiego teatru, który daleki od zepsucia sceny francuskiej winien być instytucją narodową rozwijającą w widzu najlepsze, najszlachetniejsze instynkty. Z obrzydzeniem odrzuca romansy Paul de Koeka, co mu się nawinął pod rękę, jako niechlujstwo i bezwstyd. To dobre dla innych; polskiemu pisarzo wi dosyć, gdy zasłuży na poczesne imię i przydomek czciogodny.

Pod wpływem życia i lektury formował się w młodym Żeromskim pogląd na świat. Można na podstawie opublikowanych dzienników pokusić się nawet o wyznaczenie punktów zasadniczych owej postawy wobec życia, człowieka i całej otaczającej rzeczywistości. Rzecz zmianiana: w świetle lektury dzienników zdaje się padać i rozwiewać ostatecznie jedna z podstawowych ongiś też krytyki publicystycznej, a mianowicie też lansowana zwłaszcza przez Zygmunta Wasilewskiego o swoistej jakoby bluszczowatości Żeromskiego, o skłonności do łatwego poddawania się sugestiom postronnym.

Otóż, gdy się zna całą późniejszą działalność i twórczość pisarza i odczytuje te notatki kieleckiego gimnazjisty, uderza zadziwiająca zbieżność czy tożsamość idei na tak rozległej przestrzeni lat. Żeromski utwierdził się w pewnych poglądach dość wcześnie, jeszcze w latach szkolnych; mimo olbrzymiej wrażliwości uczuciowej i intelektualnej zachował wierność dla tych raz powziętych mniemań. Oczywiście, mniemania te ulegały pewnej ewolucji, modyfikacjom, wycienianiu i kryształizacji, lecz w swym rdzeniu przetrwały aż do ostatnich dni pisarza. Był w Żeromskim pewien upór, pewna sztywność i nieprzejednanie, stawiające sprzeciw wszelkiej perswazji i — co gorzej — faktom; tym właśnie stanowiskiem bezkompromisowym i nieustępliwym należy chyba tłumaczyć to uporczywe trwanie przy pewnych ideach, koncepcjach i pewne idiosynkrazje nie dające się w nim nigdy przełamać.

JEDNYM z zasadniczych punktów owej ideologicznej samowiedzy Żeromskiego jest przede wszystkim patriotyzm. W owych latach wyraża się on przede wszystkim w nienawiści do carskiego ucisku, do rusyfikacyjnych zapędów ówczesnej szkoły, w żywiołowej awersji do wszystkiego, co przypomina znieprawdzonego reżimu. Koronacja Aleksandra III, uroczystość obchodzona w całym kraju, upamiętnia się w dziennikach całą serią inwektyw. Najbliższe potrącenie o ideę wszechsłowiańskiego braterstwa pod egidą caratu budzi natychmiast odruch spontanicznej wściekłości i oburzenia, bo Żeromski

(Dokończenie na str. 2)



O istnieniu dzienników Stefana Żeromskiego głucho a nie sprawdzone wieści krążyły od dawna. Napomykały o nich w sposób zagadkowy biografowie pisarza, powoływano się tu i ówdzie na fakty i relacje, których źródłem owe dzienniki być miały, ale sprawa osnuta była otokiem tajemnicy, mgłą niedopowiedzianych ogólników.

Żeromski pisał je z zachęty swego gimnazjalnego nauczyciela, Antoniego Gustawa Bema, w okresie od maja 1882 do października 1890. Obejmowały zatem dzienniki okres kielecki, tj. ostatnie lata gimnazjalne Żeromskiego oraz okres warszawski (od 1886), dzielony między coraz krótsze z biegiem czasu pobytu w stolicy i coraz bardziej się przeciagające kondycje guwernerskie po szlacheckich domach na prowincji. Okres życia objęty treścią dzienników należy do szczególnie ważnych, rozstrzygających o całej linii i biegu dalszych losów pisarza, jest to bowiem czas dojrzewania człowieka, kształtowania się ostatecznej osobowości, kryształowania się poglądu na świat i uświadomienia sobie właściwej i nie odwołalnej drogi życiowej.

Dokumenty tak doniosłego znaczenia przechodziły w dalszym lat biegu najrozmaitsze i sensacyjne koleje przygód. W czasie któregoś pobytu w Kielcach Żeromski zostawił je tam przez zapomnienie, tracąc następnie całkowicie ślad ich istnienia. Okazało się jednak, że pozornie zaginione dzienniki przecież istnieją, że krążą podawane z rąk do rąk, że stały się pasjonującą lekturą kieleckich pensjonarek. Dopiero po latach, w r. 1912 udało się wreszcie Piłchun-Nowszewskiemu egzekwować dzienniki i zwrócić właścicielowi. W posiadaniu pisarza i rodziny przetrwały one do ostatniej wojny, a po r. 1939 złożone zostały w depozycie w Bibliotece Narodowej i stąd, w okresie warszaw-

skiego powstania, jakiś Niemiec wywoził je do Austrii. Odnaleziono przez komisję rewindykacyjną wróciły na koniec do rąk właścicieli i oto obecnie mamy je wreszcie w druku. Na razie wolumen I, po którym pójdą niechybnie dwa dalsze).

Z inicjatywą opublikowania dzienników wystąpił po wojnie sp. prof. Wacław Borowy. Notaty pamiętnikarskie Żeromskiego, to oczywiście *journal intime*, pisany wyłącznie dla siebie i niezliczonych dopuszczonych, bez myśli o tym, by mógł być publikowany. Zresztą ich autor, w owym czasie uczeń kieleckiego gimnazjum, a potem przymierzający głodem adept we terynarij tudzież guwerner ani się spodziewał, że te zapiski mogłyby na brać kiedykolwiek wagi dokumentu. Sytuacja zmieniła się zasadniczo, gdy Żeromski stał się głośnym i znanym komitym pisarzem, toteż w późniejszym okresie przewidywał możliwość publikacji, zastrzegając jednakże, że dzienniki ukazać się mogą najwcześniej w 50 lat od dnia jego śmierci. Pięćdziesiąta rocznica zgonu Żeromskiego wypadnie dopiero w r. 1975, jednakże prof. Borowy występując z propozycją wydania argumentował bardzo logicznie i przekonująco: od dnia śmierci pisarza nie 50, lecz 100 lat upłynęło, jeśli weźmiemy pod uwagę ogrom tych potężnych przemian, jakim uległo nasze życie przeorane wojną i rewolucją.

Nadmienić trzeba, że nie zdołano odnaleźć wszystkich tomów dziennika. Było ich pierwotnie 20 i fragmenty tomu 21. Z tej liczby zachowało się 15 (brak tomików IV, V, VII, VIII, X i XVI), są zatem w korpusie zachowanym poważne luki. Wydawnictwo, któremu patronuje Instytut Badań Literackich, ma charakter naukowy.

1) Stefan Żeromski: „Dzienniki”. I (1882—1886), z przedmową Andrzeja Wasilewskiego i przypisami Jerzego Kaździeli; Czytelnik 1953, s. 563.

# Dzienniki Żeromskiego

Dokończenie ze str. 1

trafnie wyczuwa ukryte pod osłoną państwowych przesłanek brutalne, imperialistyczne tendencje. Po przeczytaniu „Wspomnień ulana z r. 63” niejakiego Suliny pisze: „Jedno wrażenie: Pożel daj mi umrzeć za moją ojczyznę! Śmiać mu się przed oczyma cienie uwielbianych bohaterów narodowych: Kościuszki, Pułaskiego, Głowackiego, Dąbrowskiego, Paderewskiego, Konarskiego, Zawiszy

Z gorącym, namiętnym patriotyzmem łączą się rysy inny, tak znamienne dla twórczości pisarza, a już wówczas w młodzieńczości w nim utwierdzone: demokratyzm i radykalizm społeczny. Charakterystyczne, że poświęcając literat. wybór sobie na bohaterów swych — jakże historycznych, choć nigdy nie ogłoszonych — dramatycznych postaci, które ucieleśniają mu ubóstwiane dążności rewolucyjnie: Savonarole, di Rionzo, Jędrusa. Z wielkich ludzi przeszłości narodowej uwielbia ponad wszystkich Kościuszkę, „prawdziwego bohatera wieku, Polaka, Europejczyka, wszechświata”. Któregoś dnia zapisuje także wyznaczenie społeczno-politycznej wiary: „...idę z czerwona czapka na głowie coraz dalej! Gdy spotkam się z dziełem arystokratycznym — wpadam we wściekłość i sztyderstwem Wagnerowskiego płacę procenta. Victor Hugo, Kopernik — to sztandar nida: mój, Bernarda, Wacka! Inni niech idą z Krasnolędem — tylko od naszego sztandar dala!”

Niemniej jednak ten demokratyzm i radykalizm nie wychodzi poza krąg zakreślony uwagami o społecznym człowieku odczuwającego społeczeństwo węż niż sol' d'armiee klasowej za swą ją kostą. Życie wielkoszkalowe budzi zachwyt i aprobatę. Kome przejażdżki, inteligentne rozmowy, wieczorne muzykowanie, zespólna biblioteka dworska, komfort życiowy i liberalne, swobodne poglądy — wszystko to wydaje się bardzo bliskie. I to zostanie Żeromskiemu na zawsze. Mimo wszystkich rozczarowań wciąż będzie powracać młodzieńcza wiara w możliwość wewnętrznej cudu w polskim człowieku, wiara w rewolucję moralną, której oczekiwaniem będzie pisarz od warstw społecznych i od te go aktu dobrej woli uzależniać będzie przebudowę polskiego życia.

JEST jeszcze jedno zagadnienie doniosłej wagi, o które lektura dzienników rzuca ciekawe, a bez wątpienia nowe światło: zagadnienie stosunku pisarza do religii i do Kościoła. Żeromski rozpoczął pisać swój dziennik w 6 klasie gimnazjum. W tym czasie jest jeszcze niewątpliwie człowiekiem pobożnym, a nawet bardziej praktykującym. Jednakowoż dzienniki kwestionują w sposób — jak się wydaje — bezapelacyjny i nieodwołalny w krytyce dotychczasowych sądów w tej sprawie. Ani twierdzenie Nowoszewskiego o głębokiej religijności Żeromskiego, która przetrwała jakoby długie lata, a właściwie nigdy nie wyzłbia, ani sąd Adamczewskiego o „wzręcz mistycznym podłożu” tej młodzieńczej pobożności, ani supozycje, że dopiero w Warszawie, pod wpływem zetknięcia się z dążnościami wolnomyślnymi pewnych kół, dokonał się w Żeromskim jakiś przełom religijny, nie dadzą się utrzymać w świetle autentycznych wyznań samego twórcy.

Przed wszystkim trudno tu mówić o jakiejś świadomości ugruntowanej w sobie, głębokiej religijności. Religijność młodego Żeromskiego — tak jak się wyłania ona z jego własnych notat — nosi wszelkie znamiona emocjonalnej wiary dziecięcej, wspieranej nadzwyczajną wrażliwością zmysłową na piękno ceremoniału, urok muzyki i śpiewu liturgicznego; wspomnienia ni szczęśliwych lat dzieciństwa i uko chanej matki, której brak odczuwał Żeromski nadzwyczaj boleśnie. Zapewne, owe praktyki religijne dostarczały niejednokrotnie przeżyć silnych i wzruszających, jednakże wzruszenia choćby największej mocy i doświadczenia mistyczne — to przecież dziedziny zjawisk zasadniczo odmiennej natury. I przełom nie dokonał się bynajmniej w Warszawie, lecz na długo przed opuszczeniem szkoły, gdzieś w 6 i 7 klasie. Wpłynęły na to, jak się zdaje, różne czynniki: młodzieńcza dążność do zrzucenia więzów jakiegokolwiek kursteli, wpływ wolnomyślnych poglądów Bema (jedynego w owych latach autorytetu), atmosfera najbliższego otoczenia (Żeromski notuje w pewnym miejscu, że mógłby łatwo sformować ze swych koleżółek ateistyczne koło, wreszcie rozbieżności ideowe między katechetą a uczniem-demokratą na tle republikańsko-radykalnych dążeń. Nie obyło się co prawda bez wewnętrznych oporów. Żeromski jest zrazu nawet zaskoczony odbywającą się w nim ewolucją: „Co się ze mną dzieje? Nie modłę się ani razu, coraz częściej ironia się przejmuję i grozi mi widmo straszne: ateizm. Dość jeszcze jednej iskry, a pożar zarogę w moim sercu. Gdybyż go odwrócić i stłumić! Nie podobna!”

Leż biż 12 V. 1885 notuje z pełną świadomością decyzji nieuchronnej i

ostatecznej: „Wzrasta we mnie z dniem każdym demokracja i rozsiada na wieczne czasy wolnomyślność religijna i unystwa. Staje się wolnomyślnym niepoprawnym, namiętnym, wolnomyślnym na całe życie”. W mieście wiary religijnej w Boga zjawia się uczucie nowe, które stanie się zależnym przyszej, tak znamienne dla Żeromskiego „religi” człowieka. Na tle indyferentyzmu religijnego i poglądów radykalnie społecznych rozwija się w następstwie w Żeromskim antyreligijizm. Odtąd, aż do końca studiów gimnazjalnych, pozostawiać będzie na stopie wolności w katechety swoim, ks. kan. Czerwińskim, a ta nieufność wobec reprezentantów Kościoła pozostanie w Żeromskim już na zawsze i nie nie zdoła jej przelamać.

JAKO dziennik intymny, pisany właściwie tylko dla siebie, są notaty Żeromskiego przebogatem źródłem dla poznania szeregu najbardziej osobistych spraw pisarza, pewnych indywidualnych rysów jego psychologicznej organizacji, temperamentu, typu uczuciowości, które to czynniki miały wpływ na twórczość równie doniosły jak fakty natury zewnętrzno-społecznej. I tak, w świetle dzienników potwierdza się w całej rozciągłości samotnictwo i nietowarzystwo pisarza. Już w wstępie swych zwierzeń notuje: „... byłem zawsze samotnym i ponurym. Lubiłem zawsze i zawsze samotność. Sam się sobie dziwię nieraz, jak mogłem tak wystarczyć sobie, jak mogłem być zupełnie bez towarzyswa nie tylko rówieśników, ale nawet w ogóle ludzi”. A 12.1. 1883 w czasie pobytu w Górnie zanotuje: „W ciągłym smutku i niepokoju. Byłem na polowaniu sam... Las szumił do mnie pięknie nieskalanie — a ja byłem tak bardzo nieszczęśliwy”.

Pesymizm to dalszy rys znamienny a nieustępliwym nastroju życiowego. Tylekroć rozstrząsany, słynny pesymizm Żeromskiego — tak charakterystyczny dla całej jego twórczości, miał bez wątpienia poważne przesłanki natury społecznej, ale był też powieką organiczną. Jest on widoczny u Żeromskiego już w tym wieku, w którym na ogół świat przedstawia się człowiekowi jako endowna i tajemnicza dziedzi na, pole gry swobodnych, zdobywanych i radosnych sił życia. Porównując się z kolegami konstataje: „Ja zaś w swym byciu i jestem ponurym”. Drecząc go obawy rychłej śmierci i pogardy powszechnej, a uprzywilejowanie tego lekturowy (życie jest złe, bezsensowne, wypełnione cierpieniem, po którym przychodzi śmierć) — mimo naiwnych niekiedy sformułowań — zdaje się świadczyć, że nie była to tylko jakaś poza młodzieńcza, lecz olrzyki te wyrosły na podłożu głębokiego, utajonego kompleksu. „Jakż to śmiechu godny, straszny śmiechu żywot rozumny. Straszny los — żyjąc pytać się siebie co dnia: po co żyję i czemu cierpię? — a umierając: po co żyłem i po co cierpiałem?”

## NOTATNIK POLITYCZNY

PAKT Pacyfiku między Stanami Zjednoczonymi, Australią i Nową Zelandią podpisany został we wrześniu 1951 r., w chwili, gdy Waszyngton przeformował wbrew przyjętym poprzednio zobowiązaniom międzynarodowym, jednostronny traktat pokoju z Japonią w San Francisco, otwierający drogę do odradzenia się militarysty japońskiego. Formalnym motytem Paktu było uwzględnienie przez USA obaw Australii i Nowej Zelandii, iż odbudowane siły zbrojne Japonii mogą raz jeszcze, jak w latach II wojny światowej, zagrozić ich terytorium. W rzeczywistości był to tylko pretekst. Stanom Zjednoczonym chodziło przede wszystkim o ścisłe podporządkowanie sobie polityki zagranicznej Australii i Nowej Zelandii w swej mocarstwowo-imperialistycznej akcji prowadzonej w basenie Oceanu Spokojnego. Polityka ta jest wymierzona swym ostrym pośrednio w Chińska Republika Ludowa, a pośrednio — również w Związek Radziecki. Tak więc Pakt Pacyfiku jest uzupełnieniem na półkuli wschodniej agresywnego Paktu Atlantycznego, z którym razem tworzy pełny system ofensywny, skierowany przeciwko obozowi pokoju i demokracji.

Nie wyczerpuje to jednak roli i znaczenia Paktu Pacyfiku. Stany Zjednoczone wykorzystują go jako środek w walce konkurencyjnej z Anglią. Nie dopuszczając do Paktu Wielkiej Brytanii, wbiły one kłn w pozornie zwartą strukturę Commonwealthu brytyjskiego. Tym sposobem wtworzyły sytuację, w której — na wypadek różnicy zdań między Anglią i Stanami Zjednoczonymi, np. w sprawie stosunku do Chin Ludowych — satalitki W. Brytanii na Pacyfiku zmuszeni są wypowiedzieć się na stronie Waszyngtonu.

Nie dziwne, że strona brytyjska manifestuje wyraźnie swą niechęć do Paktu Pacyfiku. Jednak-

Początku twórczej ciemności i supremacji zła towarzyszyło poczucie wewnętrznej rozdrożności. Jak świat wyduwał się obrazem walki sprzecznych żywiołów, tak i dusza rozdierała się na mrok i jasność: „cała moja istota wewnętrzna składa się z dwu natur, z dwu duchów niejako, z Czerni i Bielboha”. Porywy szlachetne, idealne, czyzące czyli wielka człowiekiem i niskie, egoistyczne żądze wazą się nieustannie, a to wewnętrzne rozdarcie, wrzenie sprzecznych popędów przeżywał Żeromski tym silniej i głębiej, że był osobowością sensorywną w najwyższym stopniu. Otóż i pod tym względem dzienniki dostarczają nieocenionego materiału, znajdując w nich pełne wytłumaczenie to, co w dziele Żeromskiego zawsze tak porywa, zachwyca, ale jednocześnie — ileż razy! — odpycha i odrzuca: namiętność, pasja, wybuchowość, ustawiczne sięganie do najwyższych rejestrów emocjonalnych, przechodzące jed nakże niekiedy w rozdrażnienie zmyślenia, wyłania się z tych notatek dojrzewającego młodzieńca wiremunk człowieka o nerwach wyczulonych, reagujących namiętnie na przejawy życia, niezwykłego uczuciowości, którego życie wewnętrzne dokonywało się w temperaturze ustawicznego wrzenia, szalonego, nieobliczalnych skoków emocjonalnego napięcia.

GDY mowa o tej niezwykłej wrażliwości uczuciowej, nasuwa się jeszcze jeden problem nieobojętny, gdy idzie właśnie o Żeromskiego, problem motywów erotycznych w dziele tego pisarza. Powiedzmy owarcie: Żeromski od samego początku swej literackiej kariery zawdzięczał popularność tyłk właściwej mu społecznej pasji, namiętnemu humanizmowi, co swej zachwycającej erotyce, śmiałości i swoistej wirtuozerii w malowaniu wielkich namiętności miłosnych. Erotyzm tego pisarza musiał mieć jakieś przesłanki realne, musiał czerpać siłę i rozpęd z jakichś głębokich przeżyć własnych autora. Jest prawem krytyka sięgnąć i w tę dziedzinę dyskretną i intrygującą, jeśli chce wytłumaczyć całą kowiec genozę i przebieg procesu twórczego i samego zjawiska. I gdyby tego prawa nie miał, nie byłoby powodu wydawać zwierzeń poufnych w rodzaju tych, jakie leżą przed nami. Otóż dwa ostatnie tomy notat z lat kieleckich, wprowadzają nas właśnie w tę najbardziej osobistą sferę przeżyć młodego Żeromskiego, odsłaniając po raz pierwszy fakty, o których biografowie dotąd nie wiedzieli, albo — wiedząc — nie czuli się w prawie o nich mówić. Rozwijają one przede wszystkim jedną z wielu naiwnych legend, które preparował Nowoszewski, legendę o miłości Żeromskiego do Ludwicy Dunin-Borkowskiej. Nie znaczy to, by miłość taka w ogóle nie istniała. Istotnie,

zajmuje ona w pewnym okresie dość dużo miejsca w zapiskach kieleckie go ucznia. Jednakowoż dzienniki tę historię „wielkich rozczarowań”, która — jak chciał Nowoszewski — mieć miała wpływ doniosły na ukształtowanie się pesymistycznego światopoglądu pisarza, wprowadzają do właściwych wymiarów, ukazując typowo młodzieńcze marzenie, w którym były zapewne wielkie słowa, ale nie było wielkich uczuć. Miejsce Ludwicy zajmuje natomiast osoba inna, Helena z Zetshelmów R., zamężna za Leonem R., naczelnikiem stacji w Mińsku Mazowieckim, młodszą siostrą macochy Żeromskiej. An tomiły z Zetshelmów Żeromskiej, Sto sunek z Heleną R., wypełniający Żeromskiemu niemal całkowicie ostatnie lata pobytu w gimnazjum, silny i głębioki, przekreśla niemal w zupełności epizod z Ludwicią, przeocując duszę aż do najgłębszych pokładów. Dzieje tej namiętności, przedstawione z nie zwykłą szczerością, pozwalają lepiej rozumieć wiele kart miłosnych w późniejszej twórczości pisarza. Zwłaszcza nasuwa się tu pamięć tragicznie zakończony romans Heleny de Vith i Rafała Olbroskiego z „Popiołów” — nie tylko ze względu na zewnętrzne podobieństwo szczegółów (inne bohaterki, jej stan zamężny), lecz z uwagi na uderzające pokrewieństwo stanów psychicznych i stopni emocjonalnego napięcia tych przeżyć, których doświadczał niezgdy uczeń kieleckiego gimnazjum, a potem jego młodociany, powieściowy sobowtór.

TO bogate życie wewnętrzne i ukonjenia w twórczości literackiej. Dzienniki okazują się w tym zakresie źródłem szczególnie bezcennym, przynosząc bowiem nie tylko informację o pierwocinach pisarskich Żeromskiego, notując tryty utworów, ich temat i sposób traktowania, nie tylko odsłaniają nam projekty i plany literackie młodego autora, ale przynoszą zarazem in ead uso teksty całych utworów; oczywiście, nie prozaiicznych, lecz poetyckich; Żeromski jest bowiem w owym czasie i wierszopisem. Świadomość powołania pisarskiego była w nim bardzo żywa i silna od najwcześniejszych lat. Sława jest jego jedynym bożyszczem — jak mówi. Modli się o nią i modli się o natchnienie. Produkcja literacka tego poezeraza książek przeraża po prostu ilościowym ogromem. Żeromski pisuje wiersze liryczne, poematy, dramaty z dzieł polskich i obcych, powieści współczesne i historyczne, opowiadania, nowele, epopeję „życia pierwiastkowych chrześcijan”, artykuły i rozbiory krytyczne, a poza tym tłumaczy z rosyjskiego, czeskiego, ukraińskiego. Nieszcześnie Bem odczytuje i ocenia te pierwociny ustając delikatnie harmonie zatrważająca plodność wychowanka. Nie jest to jednak rzecz tak prosta wobec uporu autora. Zresztą, powściągnięto usiłuje działać nie tylko Bem, wspierają go w tych wysiłkach redaktorzy gazet i czasopism, którym posyła młody pisarz

plody swej nieustraszonej muzy. „Kochany panie Stefanie — pisze do ucznia 6 kl. stary i żony Jan Kanty Gregorowicz — o ile czas pozwoli, czytaj, obznajmiaj się z naszą literaturą poetyczną i naukową, ale z pisarstwem wstrzymaj się jeszcze”. Nie tak to łatwo. „Wszyscy radzą jedno — opatruje Żeromski ten list smętną refleksją — i mój ukochany profesor, i p. Koczanowicz i ten w końcu pocziwy starzec, który raczył sprawowaną swą rolę trudzić dla mnie — wszyscy. Ale nie pisać... nie — nie mam siły! Gdzie podzić te złote mary, te chwile boskie, w czasie których jedynie zapomniam, że człowiekiem, zapomniam o cierpieniach, które mnie ciągle gnębią, zapomniam o wszystkim i sam już nie wiem czym jestem!” O małej wartości czy też w ogóle literackiej jakości tej wybitnie młodocianej, niedojrzałej produkcji świadcza nie tylko owe lojalnie zresztą przytaczane przez Żeromskiego opinie jego literackich patronów, nie tylko utwory wpłcone w tekst dzienników, ale i sam dziennik. Żeromski, ten fenomenalny liryk w prozie swych późniejszych dzieł, w młodzieńczych rymowanych próbach nie wykazuje najmniejszego śladu jakiegokolwiek poetyckich uzdolnień, nie ma na tych 400 z górą stronach ani jednego wiersza, który byłby czymś więcej niż produktem nieoparowanej manii rymowania. A i w samym dzienniku, zwłaszcza w poezjachowych tomkach, w ich stylu, języku, zasobie słownym, w formułowaniu, myśli i wyrażaniu wewnętrznych doświadczeń nie nie zapowiada jeszcze późniejszego mistrza, jednego z najwspanialszych stylistów w literaturze polskiej. Jednakże w tomach dalszych, VI i IX widać istotną odmianę. Gorączka pisania w ostatnich latach gimnazjum nieco opadła, Żeromski więcej za to czyta i pracuje nad sobą. Obcowanie z dojrzałą sztuką wielkich klasyków literatury europejskiej w połączeniu z przyświeconym, namiętnym rytmem życia uczuciowego owych lat wyzwała utajone możliwości, wzbogaciła język i styl dziennika o wartości, które pojawiają się zawsze tylko pod wpływem słabych wewnętrznych procesów. Po prostu życie musiało najpierw wzbogacić i nasycić treścią, aby otworzyły się upusty prawdziwego, nieklamannego natchnienia.

DZIENNIKI Stefana Żeromskiego są nieoszacowanym źródłem do poznania przede wszystkim człowieka, ale poznanie człowieka bywa często kluczem do zrozumienia dzieła, zwłaszcza jeśli dzieło to ma tak osobisty, intymny i spowidniecy charakter, jak dzieło Żeromskiego, tego największego liryka i subiektywisty pośród prozatorów polskich. Kto studiując Żeromskiego szukał niemasz formuły wyjaśniającej tajemnicę osobowości człowieka i tajemnicę dzieła, powita dzienniki z najwyższą, szczerą radością. Wiele bowiem spraw niejasnych znajduję w tych młodzieńczych soliloqujach cęta cęta techniczne wywieliczenie, wiele kwestii wątpliwych autorytatywnie rozstrzygnięte.

Arthur Hutnikiewicz

## Pakt Pacyfiku

Że wszystkie wysiłki rządu labourystowskiego w 1951 r., podejmowane w celu włączenia się do tego Paktu, zostały adremalowane przez dyplomację amerykańską. Późniejsze zaś próby przedsięwzięte przez rząd konserwatywny, który chciał latem 1952 r. wydelegować chociażby obserwatora brytyjskiego na konferencję Paktu Pacyfiku w Honolulu — nie dały również rezultatów. Churchill oświadczył w Parlamencie 17 czerwca 1953 r., iż Pakt ten „wyraźnie nam się nie podoba; mam nadzieję, że zostaną zawarte umowy bardziej i dalej idące niż te, które istnieją obecnie”. Było to przyzrywką do propozycji brytyjskiej, jaka zmierzała ku stworzeniu szerszego porozumienia państw zainteresowanych problemami Oceanu Spokojnego. Chodziło o udział Anglii i wszystkich jej dominiów, aby w ten sposób „rozwodnić” Pakt Pacyfiku i stworzyć uzurpowanie, w którym Wielka Brytania miałaby przeważający wpływ.

Losy tej propozycji ważyły się na kolejnej, waszyngtońskiej sesji Rady Państw Paktu Pacyfiku, która odbyła się we wrześniu br. w przededniu Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Pomimo presji Londynu na swe dominia Stany Zjednoczone preferowały szereg uchwał odrzucających niejawny brytyjską. Wysunęły w nich na plan pierwszy rzekome „niebezpieczeństwo komunistyczne”, pod którym propaganda amerykańska rozumie istnienie Chin Ludowych, walkę narodu koreańskiego o wolność, jak też w ogóle wszystkie ruchy narodowo-wyzwoleńcze ludów Dalekiego Wschodu. Sesja ta potwierdziła wyraźnie właściwe cele i zadania Paktu Pacyfiku.

Ta polityka, zmierzająca do wyeliminowania Chin Ludowych z areny międzynarodowej, do odradzenia militarysty japońskiego i do wykorzy-

stywania w celach wojennych klik Czang-kai-szeka i Li-Syng-mana, znalazła należyty odpowiedź w przemówieniu przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR, Malenkowa.

„Tego rodzaju polityka — mówi Malenkow 19 września br. — jest polityką krótkowzroczną. Nie wolno ignorować zasadniczych zmian, które zaszły w Azji i strefie Pacyfiku, a które wyciskają swe piętno na powojennym życiu przeszło miliardów ludzi zamieszkujących te obszary... Oliektywne warunki pozwalają przodującym społecznym siłom Wschodu na przekształcenie Azji w twierdzę pokoju, toteż należy z głębi serca życzyć wszystkim narodom Azji powodzenia w realizacji tego szlachetnego celu... Chińska Republika Ludowa występuje obecnie w Azji i w strefie Oceanu Spokojnego jako potężny czynnik stabilizujący”.

Szef rządu radzieckiego wskazał też na jedyną drogę rozwiązania problemów Pacyfiku: „Rozwijając się pod znakiem pokoju i utrwalenia bezpieczeństwa na Wschodzie, wszystkie kraje Azji i strefy Oceanu Spokojnego uzyskająby wyjątkowe możliwości rozszerzenia pokojowych stosunków ekonomicznych zarówno między sobą, jak i z innymi obszarami świata. Stworzyłyby to z kolei nieodzowne warunki nowego podjęcia do rozwiązania sprawy konstruktywnej i skutecznej pomocy krajom Azji ze strony wielu państw”.

Między tymi dwiema koncepcjami: polityka wojenna reprezentowana przez Pakt Pacyfiku, a współpraca pokojowa krajów Dalekiego Wschodu głoszona przez Malenkowa, wybór nie jest trudny. Między innymi narody jednoczą swe wysiłki w obronie polityki porozumienia międzynarodowego.

a. d.

M. Mieczysław SUWAŁA

# Różaniec święty

W XIII wieku za czasów pontyfikatu papieża Innocentego III pojawiły się w południowej Francji pewne ruchy społeczno-religijne propagowane przez albigenów i waldensów. Cała niemal Europa południowa znalazła się w ogniu walk religijnych. Albigeni wypaczyli główne prawdy wiary katolickiej i nie uznawali sakramentów świętych. Uważając Kościół i jego organy za zbyt świeckie, zajęte tylko bogactwem i dobrami tego świata, zerwali z Kościołem pod hasłem waleczności ideałów starochrześcijańskich. Wskutek rozsiwianych przez nich błędów religijnych rozbiła się dyscyplina kościelna, a obywatel chrześcijański podupadł. Wewnętrzne więc stosunki Kościoła i życie chrześcijan domagały się szybkiej reformy i uzdrowienia. Innocenty III od początku swego pontyfikatu dążył do powszechnej reformy kościelnej. W tym celu zwołał sobór do Lateranu na 1-go listopada 1215 roku. Sobór uchwalił kanony, które miały ułatwić przeprowadzenie reformy i usunięcie błędów dogmatycznych rozszerzających przez albigenów i waldensów.

Uchwały soboru laterańskiego weszły w życie chrześcijan w znacznej mierze dzięki pracy dwóch wielkich zakonodawców św. Franciszka z Asyżu i św. Dominika, którzy podnieśli poziom religijny narodów południowej Europy. Obaj za zakonodawcy zdawali sobie sprawę, że moralność chrześcijan domaga się radykalnego uzdrowienia. Wykazali oni, iż wewnątrz Kościoła można urzeczywistnić ubóstwo apostołskie, prostotę oraz prawdziwe naśladowanie życia Jezusa Chrystusa. Postawione przed sobą zadania realizowali oni przez głoszenie Słowa Bożego, modlitwy i przez żywot pełen umartwień i poświęceń w służbie bliźniemu.

Z tego okresu historii pochodzi Różaniec święty, powszechna i kochana przez wiernych kościoła modlitwa.

Sposób modlenia się na „paciorkach“ znany już gminy chrześcijańskie pierwszych wieków i to zarówno na zachodzie, jak i na wschodzie, szczególnie zaś był ceniony wśród zakonników. Różaniec właściwy bierze swój początek od św. Dominika. Historycy, a między innymi św. Antoni, arcybiskup florencki, podają, że odmawiania Różańca w takiej formie, jaką dzisiaj i posługuje się Kościół, nauczył św. Dominika sama Matka Boża, która mu się objawiła i zarazem upewniła, że ten sposób modlitwy wielce jest miły Jej i Jezusowi Chrystusowi, a przy tym bardzo zbawienny i skuteczny dla podniesienia ducha chrześcijańskiego i uzyskania potrzebnych łask. Przekazanie więc modlitwy różańcowej Kościołowi dokonało się w sposób cudowny. Kościół, postawiony od Boga jako stróż wiary i nieomylny jej nauczyciel, potwierdził i odtąd raz po raz potwierdza to pochodzenie Różańca i samą modlitwę różańcową. W ostatnich tylko czterech wiekach trzydziestu trzech papieży wydało 135 listów papieskich, obdarzając modlitwę różańcową odpustami i zatwierdzając powstałe archybractwa różańcowe.

Pisząc o wzniosłości i doniosłości Różańca św. należy zacytować słowa Ojca św., Leona XIII, który w liście ogólnym z roku 1883, skierowanym do całego świata chrześcijańskiego, usilnie polecił odmawianie Różańca: „Ponieważ zbliża się uroczystość Panny Różańcowej, w której czcimy pamięć wielkich dobrodziejstw wyświadczonych całemu chrześcijaństwu za pośrednictwem różańcowego nabożeństwa, przeto życzeniem naszym jest, aby nabożeństwo do Najświętszej Panny w całym świecie katolickim było obchodzone ze szczególną gorliwością“. W tymże liście Leon XIII postanowił, aby cały miesiąc październik był poświęcony Królowej Różańca Świętego: „Usilnie zachęcamy wszystkich chrześcijan, aby stali się, czy to publicznie, czy we własnych domach i w łonie rodziny uprawiać nabożeństwo różańco-

we... a szczególnie życzymy sobie, aby cały miesiąc październik poświęcony był Królowej Różańca Świętego“. Leon XIII również polecił: „...aby od 1-go października aż do 2-go listopada we wszystkich parafiach odmawiano przynajmniej pięć dziesiątków Różańca św. z litaniami do Matki Boskiej“. Należy przypomnieć, że Leon XIII udzielił wszystkim odmawiającym Różaniec licznych odpustów: „Wszystkim zaś, którzy będą obecni w czasie Różańca i litanii oraz pomodlą się na Naszą intencję, udzielamy za każdym razem odpust 7 lat i 7 kwadransów. Chcemy również złączyć powody nie pozwoliły uczestniczyć w publicznych modłach, pod tym warunkiem, żeby to nabożeństwo prywatnie odmawiali i na intencję Naszą również się pomodlili. Tych zaś, którzy by w tym czasie przynajmniej 10 razy nabożeństwo to odprawiali, albo publicznie w kościele, albo dla słusznych przyczyn w domu odmawiali i oczyścili duszę swoją przez spowiedź świętą i do komunii św. przystąpili, uwal-

do słów objawionych dołączył prośbę ludzka: „módl się za nami grzeszonymi, teraz i w godzinę śmierci naszej“. I wreszcie wyznanie wiary, Credo, sięgające czasów apostołskich, przesiąknięte wiarą i świętością życia całych wieków chrześcijaństwa, ozdabia jakby koroną dziesiątki Zdrowaś Maryja. Każdy odcinek różańcowy kończy stary i prosty hymn uwielbienia Trójcy Przenajświętszej: „Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi świętemu“. Nawet nie analizując przebogatej treści wymienionych modlitw, które są skarbnicą myśli religijnej, już samo ich pochodzenie stawia Różaniec św. w jakiejś osobliwej pozycji w hierarchii modlitw, którymi wierni czczą Boga i Matkę Zbawiciela.

A jeśli chodzi o nurt czystej modlitwy myślniej w Różańcu św., czyż nie należy zwrócić nań szczególnej uwagi? Znamienny jest układ Różańca w jego częściach. Pierwsza część to tajemnica radosna, druga — bolesna, a trzecia — chwalebna. Wymienione tajemnice podają nam fragmenty z życia Jezusa Chrystusa i Matki Bożej. Tworzą one treść modlitwy myślniej.

W układzie tajemnic Różańca św. przedziwnie zawiera się historia życia i jego Boże rozwiązanie.

Dziecięca i młodzieńcza radość, przeżość młodych sił i umiowanie, co nie zna granic i niemożliwości — to przecież pierwsza radosna część naszego życia.

Potem przychodzi wiek dojrzały, wiek trudu i pracy znoej, nieraz rozczarowań i upadków, cierpień i chorób — czyż to nie jest ta druga, bolesna część naszego życia. Jakże często w tej właśnie drugiej części zagłada człowiekowi w oczy i wgrzyza się w serce pokusa: tak żyć nie warto, takie życie nie ma sensu, zerwać z nim, albo zapomnieć.

W Różańcu św. jest jeszcze jedna część — chwalebna. Ostatnim akordem Bożym nie było cierpienie, choć Jezus Chrystus zakończył drogę życia na krzyżu, a miecze boleści przeszły serce Jego Matki, ale chwalebna i radość — to ostatnia część chwalebna ludzkiego życia. Życie ludzkie kończy się nie cierpieniem, bólem i klęską, ale chwałą. Aby jednak człowiek mógł osiągnąć tę chwałę, powinien tę drugą część swego życia przeżyć godnie, nie jak wójt, który się w ogniu spala, ale jak żelazo, co w tym samym ogniu hartuje się w najszlachetniejszą stal.

Wymowa części Różańca św. jest głęboka i porywająca. Już sama mądrość i miłość modlitwy różańcowej zachęca do poznania jej i przeżywania. Różaniec św. uczy mądrze przeżywać radość, rozszerzyć nią serce, woleć zaś uszczęśliwić twórczą naprężeniem mocy, a życie ogarnąć miłością. I kiedy przyjdzie prawdziwy trud, wprząc go w służbę dojrzenia i rozwoju naszego człowieczeństwa, bo ono z woli Bożej jest stworzone. Tę samą myśl podaje prosta katechizmowa mądrość życia: Bóg stworzył człowieka, aby Go poznał, miłował, Jemu służył i z Nim w chwale i uwielbieniu żył na wieki.

Historia Kościoła może nam dostarczyć sporo faktów świadczących, że Różaniec św. dla bardzo wielu jego wyznawców był ratunkiem w poniżeniu grzechów, był ożywcza siłą i odrodzeniem. To nie jest pobożne opowiadanie. Przecież każdy z nas, kto nieraz przeżywał tajemnicę Różańca św., może odnaleźć w modlitwie różańcowej przemożną siłę mądrości. W tajemnicach różańcowych, w tych poszczególnych fragmentach życia Zbawiciela i Matki Bożej, w rozwiązanej treści poszczególnych dziesiątków różańcowych, każdy z nas może odnaleźć jakąś tajemnicę własnego życia, jakąś odpowiedź na nurtujący niepokój i nie rozwiązane pytania.

Na przestrzeni dziejów Kościoła Różaniec św. był wychowawcą całego szeregu pokoleń chrześcijan. Uświęcał i kształtował nie tylko życie rodzin, ale i całych społeczności katolickich



Matka Boska z Trzemiema

nlamy od wszystkich win i kar doczesnych na mocy papieskiego odpustu“.

Papież Pius XI wskazując na Różaniec jako na jeden z najskuteczniejszych środków do podniesienia życia duchowego wśród społeczności Kościoła polecił gorąco odmawianie Różańca i nowym odpustem obdarzył tych, którzy go odmawiają.

W modlitwie różańcowej, która zdecydowanie wiąże się ze czcią dla Matki Bożej, dają się wyróżnić jakby dwa nurty: nurt modlitwy ustnej i myślniej. Dla uniknięcia nieporozumień należy wyjaśnić, że katolicyzm nie zna w ogóle modlitwy ust, w której by nie brały udziału nasze myśli i wola, niemniej ten rodzaj modlitwy różni się wyraźnie od modlitwy myślniej. Teologia ascetyczna określa charakter tych dwóch rodzajów modlitwy. Modlitwa ustna rodzi się w duszy i ujawnia się zewnętrznie. Modlitwa zaś myślna rodzi się i dokonuje w wewnętrznym świecie naszego ducha, a tylko jej skutki jako owoce ujawnić się mogą w moralnej wartości naszego życia. Istotą modlitwy różańcowej stanowi połączenie obu tych rodzajów modlitwy. Kiedy usta odmawiają Ojciec Nasz i Zdrowaś Maryja, myśl skierowana jest nie na treść tych modlitw, lecz rozważa jedną z różańcowych tajemnic.

Modlitwa ustna Różańca św. zawiera w sobie coś z najwyższego dostojstwa swego pochodzenia. Przecież Różaniec składa się z Modlitwy Pańskiej, którą pozostawił nam Jezus Chrystus, z Pozdrowienia Anielskiego, jakie w swojej pierwszej połowie pochodzi z Objawienia Ewangelicznego a w drugiej od Kościoła Powszechnego, który

## »MODLITWY«

W katolickim piśmie francuskim „Esprit“ z sierpnia 1953 roku ukazał się artykuł pt. „Modlitwy“. Artykuł omawia i krytykuje treść pewnych modlitw, które pojawiły się na łamach francuskich pism, modlitw nie odpowiadających zupełnie liturgii i duchowi Kościoła Katolickiego, a nawet obrażających uczucia religijne katolików. Redakcja „Dziś i Jutro“ podaje w dostownym tłumaczeniu treść artykułu, aby zapoznać swoich czytelników z charakterystycznymi przejawami życia religijnego na Zachodzie.

Ukazały się ostatnio dwie modlitwy: znaleźć je można nie w modlitewnikach, lecz w prasie. Jedna z nich została opublikowana w przeglądzie „Wyznanie“, który stanowi organ Centrum francuskiego patronatu chrześcijańskiego. Zatytułowana jest: „Modlitwa pracodawcy chrześcijańskiego“. Oto najważniejsze wyjątki z tej modlitwy:

„Panie, uczyniłeś mnie człowiekiem, abym posiadał władzę. Uczyniłeś mnie chrześcijaninem, abym mógł jak najbardziej rozszerzać tę władzę. Bądźmy silni razem. Ty, o Panie, umacniając mnie w prawdzie; ja godnie Ciebie sławiąc mymi rozkazami, sprawiedliwością moich decyzji, miłosierdziem moich czynów. Bądźmy silni razem. Oby autorytet moich czynów wypływał z Twoich rąk. Wreszcie, o Panie, zostanmy razem, aby powaga moja była tym bardziej ceniona. Ty, który niosłeś swój krzyż, pomóż mi utrzymać w ręku władzę: dla ratowania innych władza moja niech służy miłosierdziu. Amen“.

A oto druga modlitwa, z której wyjątki zamieszczone były dwukrotnie w „Figaro“. Jest to modlitwa „spadochroniarza“. Podaje-  
my najbardziej istotne ustępy:

„O jedno Cię tylko proszę, o Panie,

Daj mi to, o co Cię nikt nigdy nie prosi,

Nie proszę Cię o odpoczynek,

Ani o spokój,

Nie proszę o bogactwa

Ani o powodzenie, ani nawet o zdrowie,

Pragnę niebezpieczeństw i niepokoju,

Pragnę burz i zgiełku“.

Niesłuszne byłoby stawianie na jednej płaszczyźnie obu tych modlitw. Prawdziwa szlachetność unosi się nad słowami drugiej modlitwy, a okoliczności towarzyszące tworzeniu każdej z tych modlitw są tak różne. Modlitwa „spadochroniarza“ została napisana w okresie kampanii afrykańskiej, przez Andrzeja Zirnhelda, skoczka spadochronowego w stopniu podchorążego, który miał być zrzucony na spadochronie na pustynię libijską. Wojna, którą prowadzili wówczas pewni Francuzi, była wojną o wyzwolenie. Toteż zupełnie zrozumiałe jest, że niektórzy z nich woleli „burze i zgiełki“ niż prowadzenie takiej właśnie wojny.

Nasuwa się pytanie, dlaczego przebiegli wydawcy nie umieścili w książkach do nabożeństw „Modlitwy kierowcy autobusu“ obok „Modlitwy naczelnego redaktora“. Jest rzeczą pewną, że Kościół przewidział modlitwy o charakterze bardzo specjalnym (na przykład modlitwy na czas głodu — albo też modlitwy na okres epidemii bydła), ale należy zauważyć, że te modlitwy nie są wcale modlitwami kogoś..., lecz są to modlitwy o coś. To zmienia istotę rzeczy.

„Modlitwę pracodawcy chrześcijańskiego“ i „Modlitwę spadochroniarza“ charakteryzuje chęć przejawiania wyższości i wyznanie pełnej świadomości: podziwiamy takie sformułowanie: „Sławić Ciebie godnie mymi rozkazami, sprawiedliwością moich decyzji“ albo też w drugiej modlitwie: „Daj mi, o Panie, to, o co Cię nikt nigdy nie prosi“.

Nie możemy zauważyć chęci władzy u skoczka spadochronowego w jego wołaniu: o „burze i zgiełki“, pracodawca chrześcijański natomiast zachłystuje się pragnieniem władzy: „Bądźmy silni razem“, „Oby moja powaga...“ konieczny autorytet decyzji, które mają być powzięte ... i na zakończenie to zdanie (co do którego chcemy wierzyć, iż jego charakter świętokradczy uszedł uwagi autora): „Ty, który trzymałeś krzyż, pomóż mi utrzymać w ręku władzę“.

Komentarz „Modlitwy spadochroniarza“, który ukazał się w „Figaro“ z dn. 5 maja, wyszedł spod pióra p. Rémy Roure. Odkrył on analogię, jego zdaniem nie podlegającą dyskusji, pomiędzy Smokiem Apokalipsy i żołnierzami Mao-Tse-Tunga. Stąd też z tej koncepcji wynika wezwanie do skoczków spadochronowych francuskich w Indochinach do powoływania się na świętego Michała, pogromcę owego Smoka.

I wreszcie wzmianka, w tej samej kronice, o uroczystościach religijnych w katedrze w Bône i potem w katedrze w Annoi, poświęconych z błogosławieństwem spadochroniarzy.

Pan Rémy Roure nie zapomniał z pewnością, jak to w roku 1936 na karabiny żołnierzy gen. Franco spływały liczne błogosławieństwa z kościołów hiszpańskich. Bóg był w tym czasie faszystą. Dziś jest on obrońcą kapitału i zwolennikiem polityki kolonialnej.

Tłum. J. K.

Jerzy KOSIŃSKI

NA MARGINESIE „DNI POZNANIA”

# Gospodarcze problemy rozwoju Poznania

TYCIACLETNI DZIEDZICTWO

K TOKOLWIEK przyjeżdża do Krakowa, jest przeg-towany na to, że oglądać będzie miasto stare, pełne historycznych pamiątek. Rzeczywiście nie zawodzi jego oczekiwań. Gdy natomiast ktoś wjeżdża na dworzec główny w Poznaniu, nie myśli na ogół o tym, że i Poznań jest miastem bardzo starym, chyba że ten „ktos” przyjeżdża do nadwarciańskiego grodu właśnie w czasie Dni Poznania. Wówczas już wie, że w bieżącym roku upływa 1.000 lat od chwili pierwszych historycznych wiadomości o Poznaniu (z drugiej połowy X wieku), jako o grodzie Mieszka I, położonym na prawym brzegu Warty, oraz 700 lat od chwili nadania Poznaniu przez księcia piastowskiego Przemysława I i Bolesława Pobożnego tzw. przywileju lokacyjnego, czyli ogłoszenia dokumentu, który stał się podstawą prawną dalszego rozwoju Poznania — już jako osady miejskiej.

Wykopalska pochodząca z X wieku, znalezione w najstarszej części

Poznania — Ostrowie Tumskim — wskazuje na to, że już wówczas Poznań był ośrodkiem handlowym i to o znaczeniu nie tylko lokalnym. Ze znalezionych m. in. monet arabskich można wnioskować, że Poznań zajmował się importem towarów z dalekich krajów wschodnich, choć inne monety wskazują na kontakty handlowe z krajami zachodnioeuropejskimi. Wykopalska dostarcza nam danych o asortymencie importowanych towarów, wśród których wymienić można: ozdoby, wazy złotnicze — z Bizancjum, broń z krajów północnych itd. Niestety na podstawie wykopalski nie można nie powiedzieć o eksporcie.

W wieku XIII, w związku z rozwojem gospodarki towarowo-pieniężnej, która stanowi zasadniczą zmianę w gospodarce Polski w tym okresie, następuje rozkwit życia miejskiego i z nim dalszy rozwój Poznania. Wspomniany przywilej lokacyjny nadany w tym czasie Poznańowi jest tego najlepszym wyrazem, bo rejestruje i sankcjonuje w formie aktu prawnego przebieg przez Poznań drogę rozwoju.

Rozwój Poznania jako ośrodka handlowego uwarunkowało nie tylko powstanie na ziemiach Polski gospodarki towarowo-pieniężnej. Ułatwiło go w znacznej mierze centralne położenie Poznania w stosunku do Wielkopolski oraz możliwość skrzyżowania szlaków lądowych z drogą wodną, jaką stanowiła rzeka Warta. Z biegiem czasu Poznań stał się potężnym węzłem komunikacyjnym, a szlaki prowadzące przez niego były odcinkami szlaków krajowych i zagranicznych. Trzeba bowiem wyznać, że dla obcych kupców nigdy nie tworzone nowych dróg. Kupcy ci korzystali z istniejącego już systemu dróg wewnętrznych, a tylko w skutek używania pewnych szlaków do dalszej komunikacji powstało poście dróg tranzytowych. W wieku XIII przebiegało przez Poznań kilka takich tras.

Dla przykładu jako jedną z najstarszych wystarczy wymienić drogę z Poznania przez Międzyrzec Sulecin do Brenny, albo w kierunku północnym przez Sieraków, Drezdenko do Szczecina. Poznań jako osada położona przy tych trasach tranzytowych wiele z tego korzystała, gdyż ożywiła się w nim wymiana gospodarcza na skutek pojawienia się obcych kupców, a nadto zyskiwała możliwość kontroli handlu tranzytowego, która objawiała się w tzw. prawie składu, polegającym na tym, że każdy kupiec przejeżdżający przez Poznań musiał wyłożyć swe towary do sprzedaży na przeciąg trzech dni, co zagwarantowane zostało Poznaniowi prawie już w 1394 roku. Handel rozwijał się w Poznaniu na rynku i to sensu stricte na samym rynku i w jego wewnętrznej zabudowie — jeśli chodzi o handel detaliczny, oraz w kamienicach otaczających rynek — jeśli chodzi o handel hurtowy.

Dokument lokacyjny zapewnił mieszczanom poznańskim pewne przywileje handlowe, jak zwolnienia celne, prawo urzędowania raz na rok jarmarku itp. Nic dziwnego, że w tych warunkach — zawsze w oparciu o handel — Poznań rozwijał się stale.

## NOWE OBLCZE POZNANIA

Jednak to, co możnaby wznoszone przez siedem wieków, w 1945 roku w czasie walk o Poznań w znacznej części legło w gruzy. Według oficjalnych danych 55% ogólnej ilości budynków w Poznaniu zostało w większym albo mniejszym stopniu uszkodzonych, a w tym 28% izb mieszkalnych zostało zniszczonych kompletnie. Uciekające wojska hitlerowskie podpalili albo wysadzili w powietrze wiele budynków mieszkalnych i użytkowych, tak że po wyzwoleniu Poznania w dniu 23 lutego 1945 roku nieliczne były zastępy gruzami, komunikacja miejska nieczynna, mosty na

Warcie i w obrębie miasta (wiadukty ponad torami kolejowymi) — zniszczone.

Cheć tożnąć życie w stolicy Wielkopolski trzeba było przystąpić nie tylko do odbudowy leżących w ruinach zakładów użyteczności publicznej, zakładów przemysłowych i budynków mieszkalnych. Trzeba było przy tym przekształcać Poznań w miasto nowego typu — miasto socjalistyczne. Jednocześnie nie wolno zapominać o tym, że Poznań

Już po wykonaniu 3-letniego planu odbudowy liczący zatrudnionych w przemyśle poznańskim wynosiła przeszło 30.000 osób, a zatem o 10.000 więcej niż w zupełnie niezmieszonym Poznaniu przedwojennym. W planie sześciolatnym Poznań stanie się miastem wielkiego i nowoczesnego przemysłu. Podwaliny pod rozwój tego przemysłu zostały już położone. Tak jak każdy wie, co to Nowa Huta pod Krakowem, tak niemal każdy wie o istnieniu w Poznaniu olbrzymich, jedynych



Makieta Starego Rynku w Poznaniu, według której dokonuje się rekonstrukcji

bezpowrotnie stracił już swój charakter wyłącznie osiedla handlowego — ośrodka wymiany, jakim był niemal od chwili jego powstania jako miasta.

Obecnie na pierwszy plan wysunęła się produkcja przemysłowa jako podstawa rozwoju miast. Funkcje wymienne miast mają charakter wtórny, ponieważ obrót towarowy jest w tym czasie ogólnego stanu gospodarczego miast zależnego od rozwoju produkcji przemysłowej w ramach gospodarki planowej.

Przed wybuchem drugiej wojny światowej przemysł w Poznaniu był rozwinięty stosunkowo słabo. Wystarczyło powiedzieć, że na ówczesną liczącą ludność Poznania tylko około 20.000 osób było zatrudnionych w przemyśle. Ponadto rozmieszczenie tych nielicznych zakładów produkcyjnych było bardzo niekorzystne, gdyż znajdowały się przeważnie w dzielnicach czysto mieszkalnych, gdzie nie miały możliwości dalszej rozbudowy i bynajmniej nie przyczyniły się do podniesienia stanu zdrowotnego mieszkańców tych dzielnic. Obecnie sytuacja ta ulega radykalnej zmianie zarówno pod względem ilości istniejących w Poznaniu zakładów produkcyjnych, jak i ich przestrzennego rozmieszczenia.

z największych w kraju Zakładów Przemysłu Metalowego im. J. Stalina (dawniej H. Cegielski S.A.) zwanych w skrócie „Zispo”. Licząc pracowników zatrudnionych w tych zakładach wzrosła w okresie powojennym już kilkakrotnie. Prócz „Zispo” powstają w Poznaniu nowe wielkie zakłady planu sześciolatnego, jak Poznańskie Zakłady Metalurgiczne, zwane w skrócie „Pomet” oraz Stodownia w dzielnicy Główna i Fabryka Maszyn w dzielnicy Staroleka. Charakterystyczne jest to, że wszystkie te trzy wielkie zakłady powstają na prawym brzegu Warty w części Poznania upośledzonej niejaką pod względem rozwoju w okresie międzywojennym. W ten sposób zostanie zrównoważony stosunek przemysłu prawobrzeżnego do przemysłu lewobrzeżnego na lewym brzegu Warty.

W związku ze zmianą charakteru gospodarczego Poznania pozostaje zmiana jego struktury ludnościowej. Podczas gdy w okresie międzywojennym dominowała w Poznaniu ludność mieszczńska, obecnie zwiększona w trzykrotną liczbą ludność robotnicza jest świadomym gospodarzem miasta — jednego z największych ośrodków życia gospodarczego naszego kraju.

## Feliton o liczbach

czyli pochwała statystyki

SA książki, które nigdy się nie starzeją. Chętnie powracamy do nich, mimo że znamy je niemal na pamięć. Zwłaszcza po pracy, w chwilach zmęczenia, gdy trudno jest skupić uwagę po ośmiu godzinach pracy w biurze, z przyjemnością wyjmujemy z podręcznej biblioteczki taką ulubioną książkę i delektujemy się pigłkami zawartych w niej słów. Może to być tom poezji Słowackiego, Lalka Prusa, Żeromski. Otworzymy na przykład „Wiatr od morza” na dowolnej stronie: „...Od majowego z południa powiewu morze stawało się białe niby oczy kobiece. Wody jego snuły się same w sobie i bezwładem fal, ciężarem opadania wyglądały piaski wybrzeża porane od lodów...”

Piękne, prawda? A pokój i artystom opisy koł nasze zmęczenie. Przypuszczam, że podobny sposób szukania wytchnienia po pracy ma więcej zwolenników. Dlatego też nie mogłem się pogodzić z naruszeniem tej, moim zdaniem, prawidłowości, gdy mój znajomy, młody inżynier, zagadnięty w tej właśnie sprawie, pokazał mi z zadowoleniem „swoją” książkę. Byłem zdumiony i nieco zgorzoniały. Zdradzę zresztą od razu tajemnicę. Pokazał mi bowiem przedwojenny Mały Rocznik Statystyczny. Czterystronny tabel i liczb i to w dodatku przedwojennych wydarzeń gospodarczych zupełnie nie wyjątkowo zainteresowania, jakie okazywał książeczkę moją znajomy. Znałem go przecież dobrze. Nie był ekonomistą ani zwiadowcą statystycznym. Miał niedawno kłopoty w swej fabryce z planem, ale trudno było przypuszczać, aby Rocznik Statystyczny był mu w tych sprawach pomocny. Mimo to zagadnąłem: — Nie wykonujesz normy, co?... — Pytanie nie miało właściwie sensu w związku z Rocznikiem, ale czy w ogóle miało sens wertowanie małej książeczki, pełnej przestarzałych, nieaktualnych liczb?

Inżynier nie był zaszczycony moją postawą. Zaciągnął się papierosem i odparł: — Tak, było trochę kłopotu, ale mamy obecnie nowego dyrektora, który da sobie radę. Dobry organizator a przede wszystkim praktyk. Pracuje w fabryce od trzydziestu lat...

— Jak to się stało, że dopiero go teraz wykryliście?

— W tym roku dostał dopiero dyplom inżyniera. Skończył wieczorową szkołę inżynierską. No, cóż, przedtem nie miał ku temu warunków. Dawny robotnik, zaczął od chłopca, który podawał narzędzia i przynosił ze sklepu chleb i kiełbasę. Sądzę, że to ci już trochę ułatwaczy. Znacznie więcej wyjaśnień znajdziesz właśnie w tej książeczce — wskazał ręką na Mały Rocznik — Przerzucił szybko kilkanaście kartek — Od czasu do czasu robię sobie taką maleńką wycieczkę w przeszłość. Ty wycytujesz się w Żeromskiego, a ja porównuję liczbę i dane o obecnych i przedwojennych faktach. Liczby mówią wiele, więcej, niż można było ukryć faktów za jakimkolwiek frazesem, na przykład: silni, zwiarcie gotowi!... Nawet przedwojenne źródła, które często tendencyjnie podawały niektóre dane, mogą się stać kopalnią wiadomości. Postuchaj... Wiesz, ile mamy obecnie wyższych uczelni?

Rok akademicki zaczął się przed paroma dniami, pamiętałem więc jeszcze z gazet parę liczb.

— Osiemdziesiąt pięć.

— Tak. A ilu studentów?

Pamiętam mnie już zawiadła. Inżynier zakończył za mnie: — Trzy razy więcej niż przed wojną. Przed wojną zaś mieliśmy pięćdziesiąt tysięcy studentów i 28 uczelni. Porównaj te liczby. Właściwie nie dadzą ci jeszcze prawdziwego obrazu, gdyż musimy uwzględnić nieco niższą obecnie liczbę ludności w Polsce. Porównajmy to w inny sposób. Na przykład na 10.000 mieszkańców przed wojną uczyło się w wyższych szkołach 13,8, a teraz...

— A teraz? — zapytałem nieco zaintrygowany, nie orientując się jeszcze, do czego zmierza ta statystyka.

— Teraz czterdziestu dziewięciu. Różnica, prawda? Ale nie o to mi chodzi. Zaczęłam ci mówić o naszym nowym dyrektorskim, dawnym robotniku. Jest pierwszorzędnym fachowcem. Ilu rzeczy by dokonał, gdyby mógł kształcić się przed wojną. Po prostu — stracone lata i stracony talent. Ale takich jak on było znacznie więcej. Sądzę, że mi nie uwierzysz, chociaż liczby potwierdzają wszystkie moje wnioski. Czy wiesz, ile dzieci robotników studiowało przed wojną na wyższych uczelniach? Na dziesięć tysięcy robotników uczyło się aż — troje... Dzieci chłopskich studiowało jeszcze mniej, gdyż tylko dwoje. Pomyślisz, że szerzej propagandę, ale sam się ustosunkuj do obecnych liczb. Na dziesięć tysięcy robotników studiują 59-ro ich dzieci, a chłopskich 30-ro. Same liczby są zarazem propagandą i oskarżeniem. Teraz chyba rozumiesz, dlaczego mój dyrektor musiał przed wojną podawać narzędzia, a nie mógł się uczyć. Zresztą niewiele tych szkół było. Odlizując 11 w Warszawie na prowincji istniało 17 wyższych uczelni. Na Śląsku w centrum ciężkiego przemysłu istniała jedna wyższa uczelnia i to nie techniczna...

— Nie, to niemożliwe...

— Proszę, czytaj sam — Otworzył mi Mały Rocznik na 318 stronie. Tabela podawała rozmieszczenie szkół w Polsce w latach 1937/38. Szybko przebiegłem ją oczami. Nie było zresztą na co patrzeć. Co drugie województwo — kreska, to znaczy, że nie ma w nim wyższej uczelni. A więc woj. białostockie — kreska, pomorskie — kreska, kieleckie — kreska, lubelskie — 1 uczelnia, łódzkie — 11) uczelnia, śląskie — 11) uczelnia...

Wzięłem do ręki Rocznik. Wydał mi się znacznie ciekawszy niż poprzednio. Przerzucając go odkryłem szereg innych problemów, które mnie zaintrygowały.

Dać właśnie siedząc w domu, po pracy zamiatając Żeromskiego przetrząsnąć Mały Rocznik. Przyznam się że nie jestem już tak negatywnie nastawiony do liczb, szczególnie do tych, które pozwalają mi odkryć wielkość zmian i porównania między tym, co było dawniej a teraz...

## Studia poznańskie

OBCHODZONE uroczyste w b. roku tysiąclecie Poznania a siedemsetlecie samorządu stanowią piękny wstęp do zbliżającego się milennium państwa polskiego, które kształtowało się na tych właśnie ziemiach.

W związku z tak niecodziennym jubileuszem został wydany specjalny numer „Przeglądu Zachodniego” (Nr 5-6/1953), poświęcony Poznaniowi i jego dziełom. Obszerny ten tom (499 stron druku kilkadziesiąt map, planów i ilustracji), słusznie noszący tytuł: „Studia Poznańskie”, zawiera szereg ciekawych rozpraw i prac archeologicznych, historycznych, geograficznych, inżynierskich i planistycznych. Prace te zostały zamieszczone z uwzględnieniem chronologicznym początków miasta i jego rozwoju, jakkolwiek trzeba zwrócić uwagę, że nie tworzą pełnego, systematycznego obrazu historii Poznania. O ile bowiem najwięcej materiałów odnosi się do najwcześniejszych i ostatnich dzieł miasta, to dość dużą lukę stanowi okres od XV do XVIII wieku, która, jak to zastrzeżenie w wstępie Redakcji Studiów, będzie stopniowo wypełniana publikacjami w następnych numerach „Przeglądu Zachodniego”.

„Studia Poznańskie” otwiera ciekawy artykuł prof. Z. Wojciechowskiego — „Początki Poznania na tle początku miast w Polsce”.

Prof. Wojciechowski nawlazuje do dawnych opracowań historyograficznych, które zajmując się powstaniem miast polskich stały przeważnie na gruncie tzw. genetyki kolonialnej. Teoria ta, której holdowali m. in. tacy historycy, jak Piekosiński, Bobrzyński, Ptański, dopatrywała się ścisłej zależności powstawania miast na ziemiach polskich od tzw. kolonizacji na prawie niemieckim. Pogląd ten, nazywany „poglądem historyków prasa”, miał również wyznawcę w St. Kutrzebie, który jak to cytuje prof. Z. Wojciechowski, twierdził: „Zjawiają się (miasta polskie — przyp. mój)... jako organizmy zupełnie wykończony. Polska nie rozwinięła miast powoli genetycznie, z tych związków, jakimi były podgrodzia, lecz kiedy odczuła ich potrzebę, przygłębiała z zachodu formy, które tam już dawno się wyrobiły. Miasta w Polsce pierwotnie są osiedlone przez obcych, przez Niemców”.

Teoria ta spotkała się w późniejszym okresie ze zdecydowaną krytyką. Rozpoczął ją Oswald Balzer, który wyraził pogląd o istnieniu „miasteczek na prawie polskim”, powstałych jeszcze przed lokacją miast na prawie niemieckim.

Dalsze prace profesorów Bujaka, a szczególnie K. Tymle-

nickiego, dały nowe naświetlenie tej sprawy. Pierwsza miast polskie to podgrodzia, przede wszystkim podgrodzia obronne, które zapewniały pierwszym osadom opiekę przed napadami. Wykopalska archeologiczne prowadzone w Wielkopolsce i na Śląsku potwierdzają słuszność tej teorii. Takie właśnie podgrodzia — jak byśmy powiedzieli protoplańskie przyszłych miast — istniały w Gnieźnie, Kłocku, Gieczu, Opolu oraz w Poznaniu.

Poznań, w świetle najnowszych badań archeologicznych, jest więc tysiącletnim miastem polskim, powstałym w X w. jako podgrodzie.

W związku z tym nowym i niewątpliwie słusznym postawieniem sprawy genetyki miast polskich, prof. Wojciechowski precyzyjnie dwa ciekawe wnioski. Pierwszy dotyczy obserwacji o cofnięciu rzemieślniczych początków miast w Polsce głęboko wstecz, drugi jest ostrzeżeniem przed wyolbrzymieniem roli handlowej miast w Polsce w okresie po tzw. lokacjach na prawie niemieckim.

Jest niezwykle ciekawe, że „tysiąclecie” jubilat w swym rozwoju populacyjnym nosi cechy miast młodych, pełnych dynamiki i rozwoju. Problemem etnograficznym Poznania poświęcona jest ciekawa rozprawa Janusza Ziółkowskiego pt. „Rozwój Poznania w Polsce Ludowej”. Ważne jest przytoczyć się zawartym tam liczbom, ilustrującym wzrost ludności miasta, szczególnie w ostatnich latach. Jesteśmy dumni z nadzwyczaj szybkiego tempa odbudowy Warszawy i wzrostu jej ludności od 478 tys. w r. 1945 do 900 tys. w r. 1953. Nie należy jednak zapominać, że istnieją w Polsce Ludowej jeszcze i inne miasta, które w mniejszej wprowadzić skali, ale równie dynamiczną wykazują żywotność. Do nich zalicza się właśnie Poznań, w którym w ciągu 7 lat (1945—1951) przybyło przeszło 100.000 ludności.

Nie należy przy tym zapominać, że na skutek działań wojennych 55% budynków w mieście uległo zburzeniu lub uszkodzeniu. Poznań powojenny to miasto o „żywym”, jak nazywa autor rozprawy wskaźniku rozwoju. Warto przytoczyć się tabeli wzrostu zaludnienia Poznania. Przyjmując podobne tempo rozwoju miasta, jak obecnie, Poznań w r. 1955 będzie liczył 385 tys. a w 1970 — 535 tys. mieszkańców.

Nie sposób omówić wszystkich prac zawartych w tomie „Studiów poznańskich”. Warto jednak zaznaczyć, że są one cenna i interesująca praca, wyawiająca jak najlepsze świadectwo Przeglądowi Zachodniemu.

(zsc)



# WIELKI KANCLERZ POLSKIEGO ODRODZENIA



**ODRODZENIE** wiedzy antycznej i studiów nad kulturą grecko-rzymską powodowało w społeczeństwach europejskich skutek dwójaki: dodatni i ujemny. W zasadzie przeciwstawiało ono pewnym wybujałościom kultury średniowiecznej cechy wręcz odmienne, które — przy zachowaniu należytej miary — nasycali kulturę europejską elementem zbawiennej równowagi. Tak na przykład późnośredniowieczna przewaga zbiorowości nad jednostką została skorygowana przez większe uszanowanie cech osobistych. W dziedzinie nauki dedukcję średniowieczną uzupełniono szerszym uwzględnieniem indukcji, związanej z badaniami praw przyrody, opartym na doświadczeniu.

Ale żywiołowa żywotność i bujność kryła w sobie również szereg niebezpieczeństw, płynących z zachwiania należytej równowagi elementów twórczych. Zbyt daleko posunięty indywidualizm doprowadził wielu humanistów do zaprzeczenia wszystkim nakładanym z zewnątrz zasadom i normom. W tym leżała przyczyna uznawania siebie samych za jedyne prawodawców w dziedzinie moralności, co z kolei podrywało więzy społeczne i cofało kulturę moralną społeczeństwa. Poglądy te znalazły wyraz w nauce Machiavellego, który

z Kresława z Kurozwęk, a następnie sekretarzem króla Aleksandra. W 1508 roku uzyskał godność wielkiego kanclerza koronnego, co było dowodem znacznych jego zdolności i zaufania ze strony króla. Kanclerz bowiem w owych czasach łączył w swych rękach szereg „kluczowych” kompetencji: stał na czele wymiaru sprawiedliwości; kierował polityką zagraniczną i kancelarią królewską. Jemu też podlegała dziedzina ustawodawstwa państwowego. Znajdując się stale przy boku królewskim Łaski wpływa bezpośrednio na tok spraw państwowych zarówno w dziedzinie zagadnień zagranicznych, jak i wewnętrznych. Zadania, które wówczas wołały o rozstrzygnięcie, były olbrzymie. Państwo Jagiellonów obejmowało pokątne przestrzenie od Morza Czarnego po Bałtyk. Było jednak słabo zespolone, zagrożone na wszystkich granicach. Wewnątrz ferment, spowodowany przez spory polsko litewskie i litewsko-ruskie, jak też walki między grupą możnowładców a rycerstwem o przywileje i wpływy — osłabiały państwo. Wkrótce pojawi się w Polsce reformacja, powodując nową serię walk wewnętrznych pomiędzy „nowinkarzami” a Kościołem.

Nowy kanclerz potrafił się odpowiednio znaleźć w tej niełatwej sy-

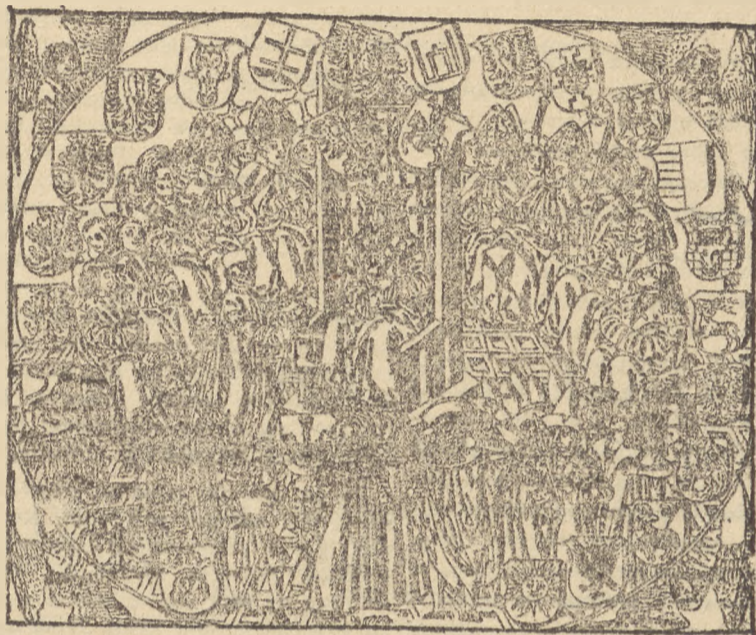
tuacji. Od XV wieku zjazdy rycerskie zaczynają wraz z królem i senatem stanowić prawa, uchwalając „konstytucje”, czyli ustawy. Miasta, fundowane na prawie niemieckim, posiadały własny urząd prawny. Przy drożymże księgu rękopiśmiennych istniała więc w Polsce wielka niepewność, jakie prawo i w jakiej mierze obowiązuje.

Łaski wywiązał się ze swego zadania znakomicie. W ciągu roku (1506) wielki zbiór prawa był gotowy i ogłoszony drukiem. Przeszedł do historii pod nazwą „Statutu Łaskiego”. Zawierał ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego, przywileje, konstytucje, prawo miejskie i wiele innych. Księga ta dzięki zastosowaniu nowego wynalazku druku była stosunkowo łatwo dostępna dla ogółu. Dzięki niej ład prawny w państwie znalazł silne oparcie, a kultura prawnicza wkroczyła na nową drogę.

Śmierć Aleksandra i wstąpienie na tron Zygmunta Starego nie zachwiały stanowiskiem kanclerza. Przeciwnie. Na skutek poparcia króla został Łaski w 1510 roku arcybiskupem gnieźnieńskim, dzięki czemu wpływ jego jeszcze wzrosł. Na pierwszy plan wysunęły się sprawy stosunków zewnętrznych. Naczelą troską Łaskiego było niebezpieczeństwo, które zagrażało Polsce od północy i południowo zachodu. Na północy powalony, ale nie unicestwiony, zakon krzyżacki nie rezygnował z myśli o rewanszu. Na południowo zachodzie dynastia Habsburgów gotowała się do wydarcia Polsce wpływów w Czechach i na Węgrzech znajdujących się pod panowaniem Władysława Jagiellończyka. Łaski zmierzał do całkowitej kasaty zakonu i poddania jego ziem pod niepodzielne władanie korony polskiej. Przeciwstawiał się też z całą mocą wpływowi Habsburgów. Na tym polu jednak spotkało wielkiego kanclerza niepowodzenie. Zakon krzyżacki zdołał się utrzymać. W 1515 roku słaby Zygmunt I na zjeździe z cesarzem Maksymilianem I zgodził się na uznanie ewentualnych praw Habsburga do tronu czeskiego i węgierskiego. Prawa te Habsburgowie potrafili zrealizować umiejętnie ze szkodą dla Polski.

Od roku 1515 gwiazda Jana Łaskiego — kanclerza zaczyna gasnąć. Podkopywany przez królową Bonę i nieprzychylnych magnatów traci wpływ na króla i na tok spraw państwowych. Pozwoliło mu to jednak na poświęcenie się w większym stopniu zadaniom kapłańskim i działalności kulturalnej. Przeciwstawiał się wpływowi reformacji. Hojnie wspierał naukę oraz wysyłał młodzież na studia zagraniczne szerząc w kraju prawdziwą oświatę. Jako administrator diecezji pozostawił cenny pomnik swej działalności w postaci dokładnego opisu dóbr kościelnych na podległym mu terenie, tzw. „Księgę beneficjów” — „Liber beneficiorum”. Księga uposażeń Łaskiego nie różniła się od prawdziwej, wielkiemu dziełu Dobosza, który opisał w ten sposób beneficja diecezji krakowskiej, stanowi jednak również niezmiernie cenne źródło historyczne dla poznania stosunków społecznych i gospodarczych w Polsce w pierwszym ćwierćwieczu XV wieku.

marł Łaski w roku 1525. Rok to tragiczny dla Polski i Europy. Wtedy bowiem Zygmunt Stary, za namową przeciwników politycznych Łaskiego, zgodził się na przekształcanie państwa zakonnego Krzyżaków na księstwo świeckie. Był to poważny błąd. Z chwilą, gdy wielki mistrz krzyżacki, Albrecht Hohenzollern sekularyzował Prusy, bę niebezpieczeństwa krzyżackiego. Słaby król i jego krótkowzroczni doradcy — przeciwnicy Łaskiego — nie zrozumieli, że Polska staje wobec decyzji, która ma zauważyć o jej przyszłych losach. Zygmunt I zgodził się na fakt dokonany i uznał Albrechta za swego lennika. W tragiczny dzień kwietniowy, gdy Albrecht Hohenzollern składał przysięgę Zygmunutowi, na rynku krakowskim rodziło się państwo



Sejm polski z królem Aleksandrem

zakończono, ale nie unicestwiony, zakon krzyżacki nie rezygnował z myśli o rewanszu. Na południowo zachodzie dynastia Habsburgów gotowała się do wydarcia Polsce wpływów w Czechach i na Węgrzech znajdujących się pod panowaniem Władysława Jagiellończyka. Łaski zmierzał do całkowitej kasaty zakonu i poddania jego ziem pod niepodzielne władanie korony polskiej. Przeciwstawiał się też z całą mocą wpływowi Habsburgów. Na tym polu jednak spotkało wielkiego kanclerza niepowodzenie. Zakon krzyżacki zdołał się utrzymać. W 1515 roku słaby Zygmunt I na zjeździe z cesarzem Maksymilianem I zgodził się na uznanie ewentualnych praw Habsburga do tronu czeskiego i węgierskiego. Prawa te Habsburgowie potrafili zrealizować umiejętnie ze szkodą dla Polski.

Pruskie, ponury twór polityczny, zajadły wróg polskości. W pół-trzecim wieku przyczynił się on nie tylko do zniszczenia Państwa Polskiego, ale wyrósł na główną przyczynę niebываłych katastrof politycznych, jakimi były dwie ostatnie wojny światowe.

Stojący nad grobem kanclerz nie potrafił powstrzymać biegu wypadków. Ale jego stanowisko w tej sprawie jest świadectwem, że mądra i dalekowzroczna myśl żyła w Polsce jako wyraz twórczych elementów humanizmu polskiego.

Józef SZCZAWIŃSKI

## Matka Boska Różańcowa

I

Pani bogatej wiosny. Pani słonecznej jesieni  
Szczyśliwy miesiąc, co nosi pieczęć Twojego imienia.  
I życie szczęśliwe, jeśli szeptem różańca je wiodłś  
Bezpieczna śmierć, gdy wprawisz ją w pierścień Twoich modlitw.

II

Rosą na pajęczynie, południem przyjaznym wrzosem  
Twe tajemnice radosne utrwala się nam w oczach.  
Gałąź osierocona, wieczór spłakany deszczem,  
I kwiat przez szron zabity — ślady tajemnic bolesnych.  
Barwą świec różańcowych, szeroką pieśnią organów  
Strofy tajemnic chwalebnych sławią Najświętszą Pannę.

III

Ziemia jest ziarnkiem różańca.  
W przestrzeni aniołów pełne  
z Bożych wypadów balców,  
by w częstce następnej powrócić.  
Człowiek — łańcuszka ogniwem  
między zdrową rodziną  
i ojezczasem powrotów...  
Poprzez dzieciństwo radosne  
Poprzez dojrzałość bolesną  
Racz Matko Różańcowa  
W chwalebny wprowadzić nas wieczność.



Kanclerz Jan Łaski wręcza swój zbiór ustaw polskich królowi Aleksandrowi. Drzeworyt z książki „Commune incipit Regni Poloniae privilegium constitutionum” wydanej przez Hallera w 1506 r.

głosił, iż jedynym prawem moralnym władcy jest „virtus” — moc.

Zbyt daleko posunięty, bezkrytyczny zaufanie w skuteczność indukcyjnych dociekań sprawiło, iż zatracono właściwą miarę w ocenie ludzkiego poznania. Droga ta wiodła nie raz do powstawania błędów u samych fundamentów ludzkiej wiedzy. Znaczenie twórcze humanizmu i jego zasługa dla rozwoju kultury zrodziły się dzięki działalności jednostek, które zdołały się uchronić przed anachronicznymi tendencjami epoki i u miały wszystko, co nowe i zdrowe, zaprzec w służbę społeczeństwa.

Do takich jednostek w Polsce na przełomie XV i XVI wieku, należy wielki magnat stanu i mecenas kultury, kanclerz królów Aleksandra i Zygmunta Starego, Jan Łaski. Urodził się w 1456 roku, za panowania Kazimierza Jagiellończyka. W chwili gdy Północ Toruński przywracał Polsce panowanie nad ujściem Wisły, liczył dziesięć lat. Jak każdy prawdziwy humanista odznaczał się wybitnymi zdolnościami. Ta zdolność sprawiła, iż został sekretarzem Kancel-

tuacji. Jest stróżem i szerzycielem ładu wewnętrznego. Dąży do uporządkowania stosunków społecznych i wprowadzenia praworządności. W dwa lata po nominacji Sejm Rządowski powierzył mu ułożenie i ogłoszenie drukiem praw obowiązujących w państwie. Polska już od czasów Kazimierza Wielkiego posiadała zbiór praw ziemskich — tzw. popularnie „Statut Wiślicki”. Składało się nań właściwie parę zbiorów dzieł nieowych, ogłoszonych w Wiślicy — dla Małopolski i w Piotrkowie — dla Wielkopolski, a złączonych potem w jedną całość. Dzięki tej względnej jednolitości prawodawstwa przodowała Polska wśród państw kontynentalu europejskiego. Francja bowiem posiadała tylko niezliczoną ilość praw dzielnicowych. To samo da się powiedzieć o Niemczech. Oba te kraje nie zdobyły się wówczas na pomnik ustawodawczy tej miary, co statuty Kazimierza Wielkiego. Ale od czasów Kazimierza Wielkiego prawo polskie rozwijało się nieustannie. Mnożyły się przywileje królewskie wprowadzając istotne zmiany w ustroju

Jerzy KRZYSZTOŃ

TOWARZYSZOM PIÓRA (I)

# O pisaniu opowiadań

NIE wyobrażam sobie nic przyjemniejszego nad kreślenie krytycznych uwag o próbach pisarskich młodych autorów. Nie z tej racji, że wtedy — jak twierdzą zyczliwi — można się wyżyć. Ani nie z tej racji, że wtedy — jak chcą złośliwcy — można (zależnie od konsystencji cielesnej osobnika czytającego itp. warunkowań) zasłużyć na drzemkę lub bezsenność. Moim bowiem zdaniem uznane stawy są właśnie od tego, żeby się na nich wyżywać, a co do drzemki — drzemać można i przy Homerze, ku czemu sam zachęcał wyrozumiały twórca Iliady.

Ale młode pióra mają ten szczególny czar, jakiego próżno szukać u dojrzałych pisarzy. Świeżość? Wcale nie, bo dobry pisarz nigdy nie zjeżdża. Dziecięca nieporadność? Może raczej to, chociaż Chesterton zawsze mawiał, że twórca bez wyobraźni dziecka jest tylko księgorobem. Rzecz właśnie w tym, iż pochylając się nad tekstem młodego autora, podobnym niesfornej czuprynie, wolno nam z prawdziwą satysfakcją zastanowić się: „Przyjacielu, co z ciebie wyrośnie?” Moim zdaniem najszczęśliwsi są ci, którzy mają możliwość sami sobie zadać to pytanie, naturalnie wyłazszy uprzednio z własnej skóry. Przyznam, bez przechwałek, że sam próbowałem i próbuję tej metody. Daje ona owoce początkowo cierpkie w smaku, ale chyba zgodzimy się, iż po to, żeby docenić całkowicie dojrzałą soczystość jabłka, trzeba najpierw rozgryźć sporą porcję sliwek.

Wydaje mi się, że niedopuszczalną rzeczą wobec młodych autorów jest wystawianie im cenzurek (bezpieczniej wobec starszych, bo im to i tak już nie zaszkodzi). Młody pisarz powinien tylko zdać egzamin wstępny — jeśli już operujemy terminami szkolnymi — a pozytywny wynik takiego egzaminu, to opublikowanie utworu w szanującym się piśmie. Potem... powinien już mieć swobodę: — „Rób, co chcesz, bylebyś robił dobrze” — naturalnie pod okiem zycznych doradców, no i jeśli to możliwe — wychowawców, o ile nie będą zbyt natarczywi.

Lecz tutaj zrobić wypada jedno zastrzeżenie. Dając taką swobodę młodym twórcom zakładamy (do czego winien nas częściowo upoważnić wynik egzaminu), iż rzetelnie zapowiadający się pisarz będzie zawsze wrażliwy na prawdę swoich dni nawet wtedy, gdy sięgnie do historii, nawet wtedy, gdy sięgnie do utopii. Nie wolno nam na egzaminie wstępnym przepchnąć kogoś, kto nie dostrzega żmudnej, ale bohaterkiej i pięknej budowy nowej rzeczywistości społecznej. Nie wolno nam na egzaminie wstępnym przepchnąć kogoś, kto nie dostrzega siebie w innym człowieku.

W tej chwili mam pomówić na temat trzech adeptów sztuki pisarskiej, którzy posiadają na koncie pozytywny wynik egzaminu. Nazwiska ich: Stanisław Grochowiak, Stanisław Sak i Barbara Grubner-Eysymontt. Zestawiłem ich w czasowej kolejności zdania egzaminu prozatorskiego na łamach „Dziś i Jutro”.

Nim przystąpimy do szczegółowej oceny tych debiutów, rozsądnie będzie rozgryźć najistotniejsze zagadnienie — zagadnienie problematyki. Oczywiście każdy, kto pisze prozę, zdaje sobie sprawę, że cały dowcip polega na tym, jak się dany problem utopi (ale nie utopi!) w konkretne postaci i w konkretne sytu-

acje. (Słowo „konkretnie” ma tu być przeciwstawieniem słowa: „papierowe”). I rzecz jasna — dobra robota pisarska powinna dać taki efekt, że krytyk analizujący dzieło nie może zeń wyjąć problemu jak orzecha z lupiny, ale jest niejako zmuszony wskazać na rozgałęzienia problemu stanowiące żywe tętnice utworu. Jeśli jednak ten orzech wyjmujemy, to znaczy, że albo krytyk jest nieuczciwy, albo książka jest do niczego. Drugą zaś rzeczą dosyć ważną przy problemie jest śmiałość, odkrywczość postawienia go, chociaż tu trzeba powiedzieć, że proza artystyczna nie jest — choćby najlepszą — publicystyką. Publicyście jako twórcy nie operujemy w sensie artystycznym postaciami i sytuacją wystarczą odkrycie problemu, a pisarzowi stanowczo nie wystarcza. Pisarz musi, jak wiemy, każdy problem rozłożyć jak najlepiej między postaci i sytuacje — jeśli tego nie uczyni, spotka go klęska. I tak powieść czy opowiadanie mające za zastęg tylko odkrycie problemu jest zawsze literacką miernotą. Zaś powieść czy opowiadanie mające za zastęg nasycenie problemem (choćby nawet był to już problem nieraz atakowany) będzie zawsze artystycznie dojrzałe.

No, ale czas już zająć się konkretnie trójką naszych przyjaciół. Każdego z nich zafascynował odmienny problem, któremu spróbowali dać ambitny na ogół wyraz. Ale w moim przeświadczeniu tylko Stanisław Sak wystartował bez punktów karnych. Jego „Marta Even” podejmuje problem może nie nazbyt zasadniczy, lecz na wskroś odkrywczy i biegle sobie z tym problemem radzi. Natomiast Barbarze Grubner-Eysymontt miałbym to i owo do zarzucenia, a na Grochowiaka szczególnie ostrzegam się. Postanawiam też, że względów taktycznych, rozprawić się z nim od ręki, dopóki jeszcze czuję się na siłach.

Po dojrzałym pisarzu, katym na cztery nogi, nie tak łatwo jest poznać, czy temat, który podjął, ponosi go lub też nie ponosi, siedzi w nim lub też nie siedzi. Po prostu umie, przechera, trzyma się na wodzy. Z młodym jest zupełnie inaczej. Gdyby tak posłużyć się porównaniem — stary byłby jak jabłko: dojrzałe, spadnie z drzewa, stuknie o ziemię i leży. Proces jest klasycznie doskonały i można z satysfakcją podjąć dobry owoc. Młody zaś byłby jak kwiat jabłoni: trzyma się na wietrze do czasu, ale gdy go wiatr już porwie — biegnij za nim w pole. Z tej też przyczyny należałoby zalecać młodym pisarzom branie na kark ciężarów, które by ich mocno przytwardzały do ziemi. Jeśli np. Grochowiak czuje, że mógłby najlepiej się wyżyć, załóżmy, w psychice przeintelektualizowanego (straszne słowo!) bohatera, niech czym prędzej odpędzi tę pokusę, a zamiast tego niech spróbuje dać sobie radę z psychiką przeciętnej babiny. Skoro wyjdzie z tej próby zwycięsko, może pisać o swoim bohaterze; jeśli jednak jego woźna, dozorczyni czy straganiarka okaże się nieprawdziwa a przez to nieprzekonywująca, zaś Grochowiak zamiast spróbować nowego ciężaru, machnie tylko ręką i skoczy co szybciej do swojego bohatera, wówczas biada mu!

Biada... Grochowiak napisał opowiadanie o artyście malarzu. Ciekawe, że niedługo przed nim młody poeta, Zdzisław Łączkowski, opublikował w „Dziś i Jutro” poemat również o malarzu. I zachowując wszel-

JÓZEF MIRODEM KŁOSOWSKI

ZŁA waga porożył gestą łosną pokonało się słońce. Sad napisał się pulsującym blaskiem. Przez zieleń starych, pokreślonych drzew przeciebało jaskrawe światło, rozlewając się po miękkiej jak wełna trawie. Pod stopami lśniła srebrzysta roś. Pachniało jabłkami i parującą rosą.

Idąc powoli, krok za krokiem, znalazł się na wąskiej, piaszczystej drodze, biegnącej środkiem Dąbrowy. Z kominów z rzadka porozrzucanych chałup wily się siwe pasma dymu. Po łące i dojrzewających polach błakały się jeszcze ostatnie strzępy nocej mgły.

— Mam już dość tego kłamstwa! — odezwał się Piotr. — Zwodzą nas, tu mania, kołują, judzą i ciągną ludzka nadzieją rychłego przełomu. Każą nam czekać na znak z Londynu. Tyczasem czas mi ja jak woda, a naród topnieje. To, co wczoraj zdarzyło się w Barłogach, jutro powtórzy się w stu innych wsiach czy osadach. I jak tu czekać?

Smółka nie odpowiedział. Zbierał to wszystko, gromadził w sobie jak smolne paliwo, by wybuchnąć dopiero na buchałowickiej odprawie. Przy tym cwał, że Piotra trzeba jakoś podtrzymać, wesprzeć, gdyż w słowach jego brzmiała gorączka i wątpliwość.

— Przekonasz się, Piotrusi — powiedział — że już niedługo. Tylko trzymaj się, bracie!

Słońce było już wysoko, gdy pożegnali się przed chałupą. Piotr skierował się w stronę ojcowiskiej zagrody, stojącej na uboczu, w zieleni pięknej, sliwkowego sadu. Z trudem wlokł za sobą ciężkie, poodpiekane nogi. Był senny i ogromnie zmęczony po tej kilkugodzinnej wódczynie, zakończonej bitwą w obronie Barłogów. Teraz chciał tylko spocząć. Ale zaledwie przekroczył rozklekotane wrota, natknął się na matkę, wracającą od rannego wdoju.

— Jesteś! — krzyknęła ze złością. — A myślałam, że cię gdzieś zakatru pili po drodze. Ale jeszcze się do grasz! Prędzej czy później postrzelą cię Szwaby i zakopią jak psa pod pierwszym lepszym płotem. A jak ty wyglądasz! O, Boże! Jak strach na wróble! Idź, przyjrzyj się w lustrze.

Agata stanęła przy studni i nie wypuszczając wiadra z ręki wpatrywała się w syna. Była tęga, przysadzista, o okrągłej, rumianej twarzy i szerokich ustach. Spod białej chusty wymykały się ciemne jak atrament włosy.

— Gdzieś był? — spytała już nieco łagodniej.

— W świecie!

— Głupsi!

Burząc pod nosem pobiegła z szumem dostatniego i czystego domu, tonącego w girlandach dzikiego wina. Piotr postąpił chwilę, pomyślał, potem umył się w zimnej jak lód studziennej wodzie i powoli powlókł się do kuchni, gdzie zastał całą swoją rodzinę schyloną nad dymiącą misą stawy. W nozdrza zalał kotłach zapach smażonej słoniny, budząc gwałtowny głód.

Gospodarz kłynał na wchodzącego

syna i jadał dalej bez słowa. Jego szeroka, brzydka twarz, pokryta rudawym zarostem, była tępa i bezmyślna.

Tylko młodszy brat, Bolek, przywitał Piotra ze szczera, nieklamana radością.

— Pietrek! — zawołał, a jego duże, czarne oczy zapaliły się silnym blaskiem. — Dobrze, że jesteś!... Siadaj! Pewno głodny, co?

— Trochę.

Piotr zjadł parę łyżek ciepłego barszczu i był już syty. Morzył go sen.

nych pól napływał zapach bielejących zbóż, pomieszany z odurzającą wonią rumianku i dzikiej mięty. Nad Wisłą tłuł się żalosny krzyk ptactwa.

— To dopiero spieka! — mruknął Paweł, łażąc po swoim obejściu. Zajął do pustej, murowanej obory, po tem do stajni i zatrzymał się przed chlewem, żeby raz jeszcze rzucić okiem na ogromnego wieprza przerażonego na kontyngent. Westchnął ciężko, spod serca. — Bolek, zaprzęga!

— Zwiąż tym hyciom moją krwa wiece... Tylko uważaj na konie!

— Dobrze, tatu!

— Znasz Palonkę?

— Znam.

— To kłaniaj mi się ode mnie i powiedz, że dostanie to, co przyrzekłem. Może być spokojny. Zapacham kundlową pysk, żeby czasem nie ugryzł. Bo to pijawka, sukcin-syn! Wysługuje się Szwabom, morderce nas kontyngentami, wymusza łapówki. Bodaj go!

Bolek szybko zaprzęgał konie. Paświwując, kręcił się jakiś czas po podwórzu, użerał się z ojcem, te znów pokrzykiwał na służącą Staśkę, zajęta karmieniem drobiu. Wreszcie we trójkę załadowali na drabniasty wóz przeraźliwie kwiczące

cego wieprza, przy czym gospodarz kłął, pomstował, a dsiewucha zasapała się i poczerwieniała z nadmiernego wysiłku. Stojąc pod stodolą zlorzeżyła Niemcom. W jej błękitnych jak len oczach paliła się nienawiść, a pełne, czerwone usta drżały z gwałtownego wzburzenia.

— A żeby was Pan Bóg skarał! — chlupała. — Bodaj każdy kęs stanął wam w gardle. Zbójce, rabusiel!

— Milcz! — krzyknął gospodarz. Staśka przycichła. Wpadła do wółmrocznego chlewu, gdzie stało jeszcze troje różowych prosiąt, a spostrzegłszy pustą kąt spochmurniała. Była zła, wściekła na starego Goraja za to, że jej nie zrozumiał. Ten chłop nie miał dla nikogo ani krzyki litości czy jakiegось współczucia.

Mieszkał na uboczu i zawsze trzymał się, jak ten wilk z dala od ludzi. Żył w pojedynkę, znając tylko najbliższą rodzinę. Przy każdej nadarżającej się okazji podkreślał swoją zamożność, swój dostatek, a do uboższych od siebie, do gospodarzy, siedzących na drobnym skrawku ziemi, do służby i komorników odnosił się z prawdziwą pogardą. Kpił z ludzkiej biedy, narząsał się z czyjegось nieszczęścia.

A gospoia? Staśka nieraz padała z nadmiernego wysiłku, staniała się z wyczerpania byle jej dogodzić, byle uniknąć kłatw i wymówek. Agata jednak zawsze znalazła jakiś powód do rozpętania nowej awantury. Trzęsła całym domem, a jej piskliwy głos jazgotał, jak stara, rozklekotana sygnaturka, plosząc wróble gnieźdzące się w szparach pod strzechą. Wszy stłkich zapędzała do pracy i to bez względu na deszcz, skwar czy zimno. Była tak twarda i odporna, że na wet wojna nie wywarła na niej większego wrażenia. W pierwszym roku okupacji uciulała sporo grosza i wcale nie narzekała, tak jak inni, na złe, pieskie czasy. Było jej prze-



Ziewnął i postępując podniósł się z twardej, sosnowej ławy, by pójść na spoczynek.

— Gdzie idziesz? — cisnęła matka.

— Do stodoły.

— Po co?

— Spać.

— I jak ty się Boga nie boisz? — krzyknęła, załamując na wystającym brzuchu swoje pulchne, czerwone ręce. — Zamiast zabrać się do roboty, waleśszasz się po całych dniach i nocach. Zadajesz się z ostatnią gołotą. Z takimi dziadami, jak Smółka czy Jasiek Kwiatosz. I to kto? Syn Goraja, gospodarza siedzącego od dziada pradjada na wółce dobrej ziemi!

— Wyrodek! — burknął ojciec.

To otrzeźwiło Piotra. W jednej chwili odleciał go sen. Zbladł, zacisnął zęby i oparłszy się o ścianę, woził oczyma po izbie. Miał już wybuchnąć. W ustach żuł przekleństwa. Ale w ostatniej chwili opanował się. Głos mu uwiązł w gardle.

— Czego go dręczycie? — odezwał się nagle Bolek. Twarz mu pobladła, a w ciemnych, głębokich oczach pokazały się łzy. — Przecież on walczył!... Poświęca życie byle zgnieść Hitlera! A wy?

— Stul pysk, szczeniaku! — rzekł groźnie Goraj. — Tylko Bóg może pokonać tego Antychrysta... On jeden! Głupia jest ta cała wasza robota. Ściągniecie na wieś nieszczęście. Zmarnujecie siebie i dobytek. Bo Niemcy zwęszą wszystko... I prędzej czy później spadną nam na kark jak grom z jasnego nieba...

— Jezus, przemień! — westchnęła Agata.

Tyczasem Piotr wymknął się z kuchni, wpadł do stodoły i zakopawszy się w sianie, zasnął twardym, kamiennym snem.

Z nieba lał się skwar. Powietrze było duszne i rozprażone. Z okolic-

# WOLNOŚCI

RYS · ANNA  
HOFFMANN

cież dobrze, lepiej niż dotychczas. To też często kłóciła się z Pietrkiem, który ciągle tylko pyskował na Niemców. Agata długo nie mogła pojąć syna. Aż pewnego dnia przejrzała. A stało się to wówczas, gdy w gminie wymierano im pierwszy, dotkliwy kontyngent. W jednej chwili wpadła w okrutną złość. Z jej ust posypały się przekleństwa. Dopiero teraz poczuła ciężar jarzma!

Staśka ostrożnie wsunęła się do stodoły. Było tutaj trochę chłodniej, przewietrzniej. W nozdrza przyjemnie łaskotał duszący zapach świeżego siana. Skradając się na palcach zbliżyła się do śpiącego Piotra. Przez moment stała bez ruchu, wpatrując się w jego postać szarzejącą w srebrnym półmroku. To sprawiło jej jakąś niewyśłowioną radość. Poweselała i chwyciwszy z podłochy zgrzebaną płachtę, wybiegła w pole, by zająć się zbieraniem chwastu.

Przed oczyma stanął jej Piotr. Cieszyła się, że wrócił dzisiaj o świcie z tej długiej, niebezpiecznej wycieczki i do tego jeszcze zdrów i cały. Śledząc jego każdy krok doskonale wiedziała, że jest żołnierzem armii podziemnej i że dzień w dzień styka się ze śmiercią. Toteż gdy opuszczał dom, trzęsła się z niepokoju, bała się, żeby czasem nie zginął...

Wytarła pot ściekającą z głodkiej, opalonej twarzy, bo dzień był wyjątkowo skwarny. Ziemia pachniała zapachem dojrzewającego chleba, aro matem ziół, kwitnących w zbożu i na miedzy. Cykanie owadów stawało się coraz śmielsze, intensywniejsze. Szept przechodził powoli w tajemniczą pieśń lipcowego przedpołudnia. W wiklinie powiewywały ptaki. Znad rzek płynął miękki i ciepły podmuch, niesąc z sobą mdłą woń kadzidła.

Staśka zapatrzyła się na ten jasny, kwitnący świat, na falujące jak rzeka lały, na czysty błękit nieba, biel gryku i ciemną zieleni bujnej trawy i nagle zapomniała o wiosnej nędzy, o gorzkim chlebie, jaki otrzymywała z rak Gorajna, o krzywdzie, obojętności Piotra i swej codziennej męce. W tej chwili czuła się lekka i niemal szczęśliwa. Serce jej napełniało słońce, blask gorących jak płomień kolorów, zapach pól, rozgrzanej macie, rzanki, piasku i chłodnej wody. I oto wszystko wydało jej się dobre i piękne. Zioła i ptaki, ludzie i zwierzęta. Cały ten wspaniały, ozalaminający świat, w którym tonęła jak w wielkiej, świetlistej rzecie.

Wtem w ciszę tego zielonego zakątku wdarł się monotony pomruk motorów. Głos ten szybko rósł, nabrzmiewał i coraz bardziej zbliżał się do Dąbrowy. Staśka przez moment słuchała, ręce jej drżały, a serce utknęło w gardle. Poznała, że drogą prowadzącą z Puław jadą niemieckie samochody. Był to niechybny znak nadciągającego nieszczęścia. Pomyślała o Piotrze i po krzyku przemknęła dreszcz. Cisnęła ciężką płachtę i zaczęła biec co tchu w stronę Gorajowej zagrody.

Wpadła jak burza w zapole i pochylwszy się nad śpiącym, szarpnęła

go mocno za ramię. Ale Piotr przekręcił się tylko z boku na bok i dalej najspokojniej chrapał. Wtemczas ogarnęła ją rozpacz. Potrząsnęła nim jak lupiną, a kiedy wreszcie zerwał się z siana, krzyknęła mu prosto w twarz: „Uciekaj!“

— Co się stało? — spytał.

— Niemcy!

— Gdzie?

— W Dąbrowie!

Piotr sięgnął po broń i, wymknąwszy się ze stodoły, przepadł w gąszczy bielejącego żyta. Postanowił ukryć się w najbliższym, gromadzkim kamienicem odległym zaledwie o pół mili. Tymczasem jednak przypuścił w zbożu, by lepiej zorientować się w sytuacji. Samochody grały coraz bliżej. Wkrótce minęły już wieś i waliły wprost na Gorajowe pole. W brzezynie padł strzał i zaraz odezwały się automaty, prując cisze swoim nerwowym, szczykającym terkotem.

Piotr zrozumiał, że polowano na niego. Przejął go lęk o dom, o rodzinę. Zamiast więc myśleć o własnym ocaleniu, postanowił podczołgać się jak najbliżej sliwkowego sadu, skąd mógł obserwować ojcowskie obejście. Z ogromną ostrożnością przedzierał się przez gęste zboża, przez gorące od skwaru bruzdy i szorstkie miedze. Samochody umilkły i znowu nastała przytłaczająca cisza. Pachniała rozgrzana ziemia i raz po raz cykały świerszcze.

Przeczekał się w pierwszej napotkanej kotlinie. Było tam tak dużo, że z trudnością odychał. Koszula przylgnęła mu do grzbietu, a po szermielał i jakby zadymionej twarzy lał się kroplisty pot. Ale najwięcej męczyła go własna bezsilność. Żeby tak miał przy sobie chociaż paru uzbrojonych behowców... Ręka ścisnęła broń, dotykała chłodnej powłoki granatów. Coś go podrywało z ziemi, kusilo do opuszczenia kryjówek i wtargnięcia

polne i od czasu do czasu zrywały się z wrzaskiem wróble, by zaraz spaść jak grad na sąsiednią gruszę. W górze chwiały się złote, ciężkie kłosa. Po cienkiej jak nici i giętkiej lodyżce spacerował duży, kosmaty bąk o lśnią cym żółto-czarnym odwłoku i pemrukując krzątał się po wysychłej, opylo nej trawie.

Tymczasem niebo stało się nagle szare i jakby zasnuł mgłą gęstego dymu. A jednocześnie w nozdrza uderzył swąd niedalekiego pogorzelska. Piotru struchlał z przerażenia, bo zrozumiał, że tam, zaraz za pierwszą miedzą pali się jego rodzinny dom, marnie cały gospodarski dobytek. Zabrakło mu powietrza, w oczach po ciemniało. Zaciął się pieści, zagryzł spłakane wargi. Serce w nim trzęsło się jak liść, dygotało. W uszach huczała krew. Zdawało mu się, że oszaleje...

Podniósł się z ciepłej, wygrzanej bruzdy i nie zważając już na niebezpieczeństwo, zaczął człapać w stronę wsi. Wierzył, że uda mu się zebrać chociaż kilku chłopców i z nimi urządzić zasadzkę. Powoli wydostał się z pasma zbóż, minął szmat pachnącej lenicyzny i posuwając się głębokim łarem, stanął na mało uczeszczonej poprzeczce. Ale zaraz padł jak długi, gdyż w Dąbrowie parsknęły automaty i nad głową jego przeleciały ze świstem kule. Musiał zawrócić z drogi.

I znów znalazł się w życiu. Przesiedział tam do późnego wieczora. A dopiero ułyszawszy warkot odjeżdżających samochodów, wylazł ze swej kryjówki i szybko ruszył w stronę domu. W powietrzu unosił się zaduch świeżego pogorzelska.

Piotr ze ściśniętym sercem wszedł na podwórze. W mroku lipcowej nocy dopalała się chałupa, ale budynki gospodarstwa były całe. Zza węgła wysunął się nagle ojciec. Spostrożony syna zmarszczył rude brwi, podniósł sękatą pieść, lecz nie uderzył.

— Ty bandyto!

— krzyknął chrapliwym głosem.

— Zmanowałeś moje życie, zniszczyłeś dom i dobytek...

Bodajś już raz zdechł!

Bodajś cię święta ziemia nie nosiła...

Prez stąd, bo cię zatłukę, zakatrupię, haj daku!...

Wypluwszy to z siebie jak zapiekły skrzep, pochylił się, zmalął. Potem zwiślał ciężka, rzuciła głowę.

Wtem głosił na Wschodzie rozległo się dalekie, urywane dudnienie. Głuchy, stłumiony głos płynął po wilgotnych, oroszonych polach, po łąkach i ciemnych zagajach, budząc dreszcz w sercach czuwających ludzi, jakąś radość i nadzieję...

To taka sama salwa — pomyślał Piotr — jaką kie-

dyś oddano z krążownika „Aurora“, rozpoczynając nową erę w dziejach świata. Wsłuchując się w odgłosy dalekiej kanonady, Piotr siedział przed spalonym domem. Tak zaskoczył go świt. Za ciemnym, zamglonym lasem po-czerwieniło i zaraz buchnął kłęb płomieni. Wschód stanął w ogniu.

— Euna wolności!... — szepnęła Piotr. Józef Nikodem Kłosowski

Michał LERMONTOW

## UBOGI

W wrót świątyni, gdzie Bóg żywy,

stał z wyciągniętą, wyschniętą ręką,

nędzarza strzęp nielitościwy,

sycony głodem i udręką.

O kromkę chleba prosił ludzi,

a w oku cię nadziei ożył...

...lecz ktoś tę ufność jego złudził

— ktoś mu na dłoni kamień złożył...

Jam, jak ten żebrak serca błagał,

Goryczą lez i dni zgrzyotą,

i mnie jak jego los wysmagał...

— i oszukany zmartwił oto...

\* \* \*

...W tłumie nas dojrzał kaprys psoty,

przypadek złączył nasze dni —

że tkwiła pustka, nicość w nich,

rozłąka będzie bez tęsknoty...

(Wolny przekład M. Sulistrowskiego)

NA PÓLCE KSIĘGARSKIEJ

## „DRZEWA CHODZĄCE“ DOBRA CZYŃSKIEGO\*)

PO cyklu książek historycznych, z których „Klucz mądrości“ i „Listy Nikodema“ należą bodaj do największych osiągnięć pisarza, otrzymujemy nową powieść o tematyce współczesnej. Tematyki tej Dobraczyński nie podejmował od czasu wydania zbioru opowiadań pt. „Największa miłość“, tym bardziej więc staje się interesująca dla czytelnika katolickiego powieść o czasach, które mu są najbliższe.

Dynamika odbudowy nie przesłania Dobraczyńskiemu zagadnień natury moralnej, lecz przeciwnie — żywe tętno codziennej pracy nadaje tym zagadnieniom właściwy sens. Mówiąc o problematyce należałoby podkreślić jej bogactwo, powieść bowiem nie operuje jednym tylko akcentem, ale wieloma, wpisany w życie bohaterów. Jeśli by porównać „Drzewa chodzące“ do utworu muzycznego, naczelnym ich tematem stanowiłoby zagadnienie wkładu wszystkich obywateli w dzieło odbudowy kraju, zaś poszczególnymi i przepiękającymi się motywami byłoby takie problemy, jak kwestia wiary, miłości, poświęcenia i bohaterstwa. Można by je mnożyć jeszcze przez wierność, cierpienie i wiele, wiele innych, co przyczyniłoby się tylko do stworzenia dość sztucznej litanii, każdy bowiem z tych problemów jest u Dobraczyńskiego wtopiony niepowtarzalnie w losy ludzkie.

Doktor Anna, oddana całą duszą pracy lekarskiej, spotyka na swej drodze młodego pisarza katolickiego, Antoniego Krońskiego, by znaleźć w nim spełnienie swej miłości. Jednak przed zamiarem osiągnięcia ich wzajemnego szczęścia, które potrafił w sobie przeczuć, wyrastają komplikacje natury moralnej, jakich oboje nie tylko że nie mogą, ale i nie chcą usuwać. Anna myśli o swojej pracy, traktując ją jako rygorystyczne powołanie, Antoni zaś o żonie, z którą związany jest nie tyle sercem, ile obowiązkiem i współczuciem.

Antoni wierzy we własne postanowienie pisarskie, sądząc, że wszyscy i wszystko winno mu się podporządkować, aby tylko mógł osiągnąć te cele, jakie postawił przed sobą. Stąd też wokół jego osoby wytwarza się specyficzna atmosfera. Żona Antoniego, Krystyna, może daw-

niej obojętna wobec pisarstwa męża, zaczyna nienawidzić jego pracę, uważając, iż nie jest to praca godna mężczyzny. A nawet posuwa się dalej, sądząc, że Antoni sprzeciwia się zasadom głoszonym przez siebie samego w swoich książkach. Bohater, którego stworzył, żyje — jej zdaniem — podobnie jak i autor w świecie kłamstwa. Wyolbrzymiając wady męża napełnia się sama kompleksami, które z biegiem czasu pochłoną jej całe życie. Przebyte cierpienia osadzają na Krystynie warstwę goryczy, którą w nieustannej ze sobą walce próbuje zderzeć. Wyzwolenia najczęściej szuka w miedzy.

Zdarzeniem mobilizującym stają wszystkich działających osób jest wypadek samochodowy, któremu ulega syn Antoniego i Krystyny.

Powieść przez swą szczególną kompozycję pozwala wnikać czytelnikowi nie tylko w zdarzenia obecne, ale też dojrzeć ich głęboko tkwiące w czasie przyczyny. W „Drzewach chodzących“ bowiem zdarzenia nie rodzą się same, lecz wyrastają z przeżyć nawarstwionych w ludziach i z ludzkich oczekiwań.

H. F.

\*) Jan Dobraczyński, „Drzewa chodzące“, Wyd. Pax, Warszawa 1953, str. 236.



NOWOŚĆ NOWOŚĆ

Jan Dobraczyński

DRZEWA CHODZĄCE

Powieść

254 str.

Cena zł. 25.—

Wysłać Biuro Sprzedaży „PAX“, Warszawa, ul. Mokotowska 43 za załączeniem pocztowym lub do wpłaconemu na konto PKO w/wa 1-8515/114. Przy wpłatach na PKO prosimy dołączać zł. 3.— na koszt przesyłki

Mateusz T. MILEWSKI

# Kraj czarnego piasku...

A ZJĘ Środkową, której powierzchnia równa się mniej więcej powierzchni Sahary, zamieszkuje dziś kilkanaście milionów potomków wojowników Dżyngis Chana. Jeśli rzucimy okiem na jakąkolwiek etnograficzną mapę Azji, stwierdzimy, że obszar ten dość jednolity pod względem geograficznym wskazuje również dużą jednolitość pod względem etnograficznym: zamieszkuje go dwie blisko spokrewnione grupy — ludy mongolskie na wschodzie i tureckie na zachodzie. Spośród ostatnich jedyną z najciekawszych i najmniej znanych są Turkmeni.

Turkmeni od niepamiętnych czasów koczowali ze swymi stadami na stepach i pustyniach Azji Środkowej. Obyczaje ich od wieków przystosowane były do życia na pustyni. Obok hodowli drugim ich rzemiosłem stała się wojna i napady rabunkowe. Najstarsze kroniki arabskie wymieniają Turkmenów jako nienasyconych grabieżców, będących postrachem dla sąsiadów. Jeszcze w drugiej połowie ub. wieku urządzali oni napady na Persję i tereny należące do Rosji, porywały ludzi i tysiącami sprzedawali jako niewolników na rynkach Chiny czy Buchary. Owe zbójckie napaści stały się bezpośrednią przyczyną, dla której armia rosyjska zajęła w 1881 ich koczowiska w nizinie Turanu.

Trudne warunki bytu zrobiły z Turkmenów ludzi twardego i zaborczych, lecz nie dzikich. Byli wprawdzie łupieżcami, ale nie barbarzyńcami. Choć trzykrotnie popadali w niewolę: Arabów, Persów i Mongołów, co wywarło silne piętno na ich kulturze i obyczajach, zdołali jednak przechować szereg niezmiernie ciekawych rodzimych pierwiastków, nadających im swoiste oblicze. Jak wszystkie te narody Wschodu lubowali się w poezji. Piewcy ludowi zwani *bahszy*, głosząc utwory poetów, przekazywali je z pokolenia w pokolenie.

Burzliwe życie Turkmenów odzwierciedlało się w rycerskich epokach i pieśniach. Jednym z ulubionych bohaterów był legendarny bohater narodowy Rustem. Później powstały opowieści o Ger-Ogłym, które mimo że pochodzą z XVI wieku, czyli z okresu najgorszego nasilenia niewoli perskiej, są przepojone wyjątkowym optymizmem.

Na tej bogatej spuściznie, przekazanej niemal całkowicie w słowie, wyrosło wielkie dzieło Mahtum Kuli, twórcy nowoczesnej poezji turkmeńskiej. Demokratyczne poglądy i niezwykły kunszt poetycki postawiły go między pierwszymi poetami bliskiego Wschodu, na równi z wielkim persem Hafisem. Mahtum Kula zapoczątkował w XVIII wieku nowoczesną pisemną poezję turkmeńską, w której znajdował i znajduje nadal godnych siebie następców, jak choćby Ker-Moła czy Bajram, najwybitniejsi poeci radzieckiej już Turkmenii.

Podobnie jak wszystkie ludy koczownicze wędrowali Turkmeni przez wieki po całej Azji Środkowej — od Chin do Iranu. Ale od setek już lat większość ich zamieszkała na obszarach stanowiących dzisiejszą Turkmeńską Federacyjną Republikę Socjalistyczną, najbardziej na południe wysuniętą z republik radzieckich, o powierzchni równej mniej więcej powierzchni Hiszpanii. Lud-

ność obliczano przed wojną na około 1,3 miliona, z czego 70 proc. stanowili rdzenni Turkmeni.

Blisko jedna trzecia ludności, to mieszkańcy miast, reszta żyje w oazach i na pustyniach. Cała niemal Turkmenia jest wielką pustynią: około 80 proc. jej powierzchni zajmuje pustynia Kara-Kum, co w języku turkmeńskim znaczy: „Czarny piasek”.

## WODA PRZYNOŚI ŻYCIE

ŻYCIE Turkmenów skupia się w oazach, na brzegach niezliczonych rzek i wzdłuż wielkiej magistrali kolejowej prowadzącej do Krasnowodzka, morskiego portu republik Środkowoazjatyckich. Słońca w Turkmenii dużo, ale wody mało. Tak mało, że w Krasnowodzku na przykład wodę do picia przywozi się statkami z Baku albo uzyskuje drogą destylacji wody morskiej. Niebo tu tak bezchmurne, że do złudzenia przypomina Egipt czy Kalifornię, klimat jednak różny, wybitnie kontynentalny, o wielkich wahanach temperatury dnia i nocy, lata i zimy. Piasek pustyni nagrzewa się do 80°C swobodnie więc można upiec w nim jajko, lecz za to trudniej po nim chodzić.

Szczególną osobliwością pustyni Kara-Kum jest jej efemeryczna roślinność. Na wąskim pasie urodzajnej gleby lessowej u podnóża Kopet Dagu w lutym i marcu spadają ulewne deszcze. Nasycona wilgocią pustynia w ciągu paru dni, dosłownie niemal w oczach, pokrywa się kwiecistą łąką. Gdy się patrzy na ów kobierzec tulipanów, irysów i innych kwiatów o niezwyklej intensywności barw: liliowych, żółtych, pomarańczowych czy krwistoczerwonych — nie sposób wprost uwierzyć, że przed paroma przecież tygodniami na tym samym miejscu ziemia była naga i wyschnięta. Pod palącymi promieniami słońca zapas wilgoci wyczerpuje się szybko, w ciągu kilku tygodni. Aby „zdążyć” żyć, rośliny muszą wyrosnąć, zakwitnąć i wydać nasiona w krótkim stocunkowo czasie.

Ale nie tylko flora i fauna musi się przystosować do warunków klimatycznych. Środowisko geograficzne wycisnęło też silne piętno na ludzi i jego losach. Stąd też odrębność tego ludu, tak dla nas ciekawa, odrębność zarówno kultury, charakteru narodowego, jak i jego dziejów.

Odwieczne życie na pustyni rozwinięło w Turkmenach różną zdolność, z których najważniejszą jest niezawodna umiejętność znajdowania wody, wykrywania jej po oznakach dla każdego innego człowieka zupełnie niedostrzegalnych. Ponieważ wodę na pustyni bez wody jest nie do pomyślenia, Turkmeni stali się mistrzami w budowaniu studni. Studnia jest ośrodkiem, wokół którego koncentruje się życie. Sposobów budowania studni istnieje wiele, najciekawsze studnie budowane systemem łańcuchowym, przyjętym od Persów, ciągną się dziesiątki kilometrów w głąb pustyni. Kopie się je począwszy od podnóża gór co 40 do 50 m, a potem łączy się podziemnymi chodnikami, przez które płynie woda. W ten dowcipny sposób unika się strat wilgoci na skutek parowania.

Obecnie dawne sposoby zdobywania wody zastępowane są przez studnie artezyjskie i destylację wody słonej.

Dwie równoległe rzeki spływają z gór Afganistanu na równinę Turkmenii, Tedżeb i Murgab; umożliwiły one powstanie dwóch największych oaz: Tedżenu i Merw, albo Mary. Mary jest bez wątpienia jednym z najstarszych osiedli ludzkich na świecie. Przechodziło ono różne koleje. Od XI wieku zajmowali je Turcy Seldżuci. Obok Samarkandy i Buchary stanowiło jedno z głównych ośrodków kultury Islamu. W XII w. zagarnęli je Mongołi i wpływy kultury muzułmańskiej upadły. W XVI w. zajęli Mary Uzbegy. W XVII w. Emir Buchary zburzył miasto i wyciął w pięć mieszkańców, Kwitnącą osadę zagarnęła pustynia.

W połowie XIX wieku Turkmeni z plemienia Teke, wyparci z koczowisk na terenie Persji, na powrót ożywił Mary, zajęli je i stali się rolnikami. Dziś Mary są największym w Turkmenii obszarem plantacji bawełny egipskiej o długim jedwabistym włóknie. Poza tym uprawia się ryż, bób, mak oraz wszelkie gatunki drzew owocowych i morwę dla hodowli jedwabników. Na przylegających do Merw pastwiskach rozwijała się na wielką skalę hodowla owiec karakułowych.

Walka o wodę trwa w Turkmenii tak długo, jak dawno pojawił się tu człowiek. Stare przysłowia ludowe mówią: „Prawdziwym bohaterem jest nie ten, kto pobije wrogów, ale ten, kto pokona pustynię”.

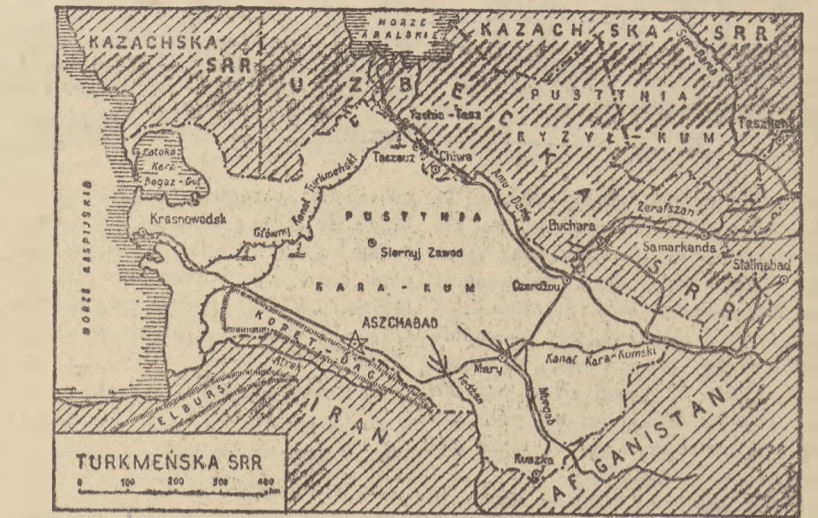
Ciekawym przejawem organizacji społecznej, jaka istniała w Azji Środkowej do czasów rewolucji, była prywatna własność nie tylko ziemi, ale i wody: oprócz prawa posiadania kawałka ziemi trzeba więc było mieć w dodatku prawo użytkowania wody przez nią przepływającej, która z reguły należała do niezliczonych rodzin feudalnych. Rewolucja na terenie Azji Środkowej musiała tedy przeprowadzić nacjonalizację nie tylko ziemi, ale również wody.

I choć system nawadniania pól, istniejący od tysięcy lat, posiadał niezwykle ciekawe rezultaty i zadziwiająco choć prymitywne urządzenia, właściwym początkiem wielkiej ofensywy na pustyni Turkmenii stało się dopiero rozpoczęcie przed wojną budowy kanału Kara-Kumskiego, który wodami Amu-Darii zasilił rzeki Tedżen i Murgab.

## NOWA TURKMENIA

W r. 1950 rząd radziecki powziął uchwałę budowy Wielkiego Kanału Turkmeńskiego, który doprowadzi wodę Amu-Darii do Krasnowodzka. Będzie to największy w historii budownictwa kompleks urządzeń hydrotechnicznych. Długość kanału wynosi 1.100 km, czyli kilka razy więcej niż Kanał Sueski i Panamski, razem wzięte. Na całej swej długości Kanał będzie żeglowny.

Od kanału głównego odchodząć będzie cała sieć mniejszych kanałów nawadniających, a łącznie długość całego systemu wyniesie 60.000 km. Przy pomocy tej sieci irygacyjnej na wodnione zostanie 1.300.000 ha ziemi pod uprawę, głównie bawełny, oraz około 7.000.000 ha pastwisk, co



pozwoli na ogromne zwiększenie bazy paszowej dla hodowli.

Wzdłuż kanału głównego i większych kanałów nawadniających zostaną zasadzone ochronne pasy leśne, o łącznej powierzchni 500.000 ha, których zadaniem będzie unieruchomienie wędrownych piasków i stawianie oporu burzom piaskowym.

Zapora wodna koło miejscowości Tachia-Tasz podniesie wody Amu Darii o 4 m i skieruje je do starego wyschniętego łóżyska tej rzeki.

Oprócz zapory na Amu Darii zbudowane zostaną dwie inne zapory wodne, na każdej zaś z nich powstanie wielka elektrownia.

W planie budowy kanału zaznaczone jest wyraźnie czworokątne zadanie, które ma on spełnić: nawodnienie pustyni, zmiana klimatu, dostarczanie taniej energii elektrycznej, wreszcie połączenie odległych ziem Azji Środkowej drogą wodną poprzez morze Kaspijskie i Wołgę z Moskwą i Leningradem.

Z chwilą zakończenia budowy kanału, co nastąpi w 1957 r., powierzchnia ziemi uprawnej w Turkmenii zwiększy się dwukrotnie, a dzięki urodzajnej glebie świeżo nawodnionej produkcja bawełny wzrośnie 7 — 8 krotnie, pogłowie zaś bydła rogatego i owiec również powiększy się kilkakrotnie.

Z chwilą ukończenia budowy kanału Wołga-Don budowa kanału turkmeńskiego ruszyła szybko naprzód. Ołbrzymie doświadczenie zdobyte przy tamtej budowie, wysoko kwalifikowany personel i potężny sprzęt techniczny zostały skierowane do budowy, którą Turkmeni nazywają „Rzeką szczęścia”.

Rozwój socjalistycznej Turkmenii nie ogranicza się tylko do osiągnięć na polu rolnictwa i hodowli. Turkmenia posiada również duże bogactwa naturalne. W centrum pustyni Kara-Kum wydobywa się i przetwarza w dwóch ośrodkach przemysłowych siarkę, co w dużym stopniu niezależnie ZSRR od zagranicznych źródeł zaopatrzenia w ten surowiec. Na półwyspie Czeleken, co w języku turkmeńskim znaczy: „Półwysp czterech bogactw”, wydobywa się ropę naftową wosk ziemny, brom i jod.

W okresie władzy radzieckiej zbudowano lub całkowicie zrekonstruowano kilkadziesiąt zakładów przemysłowych. Produkcja przemysłowa już w r. 1940 była dwanaście razy wyższa niż w okresie sprzed Rewolucji Październikowej i stanowi dziś dwie trze-

ście całej narodowej produkcji Turkmenii.

Powstał szereg nowych gałęzi produkcji: przemysł chemiczny, poligraficzny, materiałów budowlanych, wreszcie przemysł spożywczy, przetwórczy mleka, mięsa i owoców. Na miejscu dawnej prymitywnej produkcji chałupniczej rozrasta się wielki przemysł włókienniczy, oparty na rodzimych wzorach i surowcach: wełnie, bawełnie i jedwabiu.

Centrum przemysłowym, handlowym i kulturalnym Turkmenii jest jej stolica Ashgabat — miasto słońca — położone na granicy gór i pustyni w oazie Ahał-Tekin, zraszonej kilkoma rzeczkami spływającymi z Kapet Dag. Ashgabat jest dziś zupełnie nowoczesnym miastem o szerokich, wysadzanych drzewami ulicach.

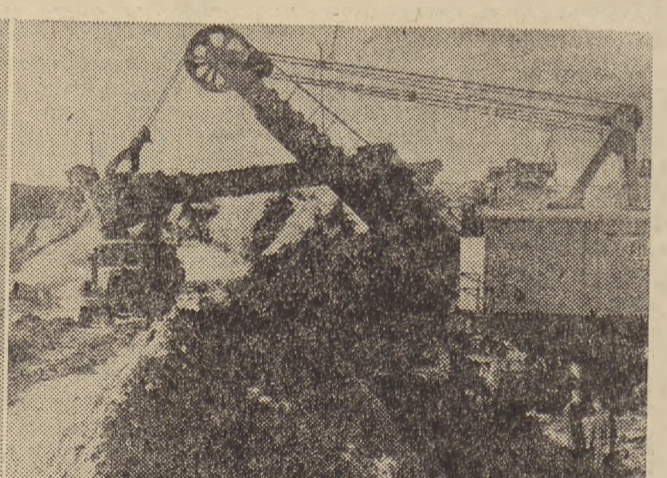
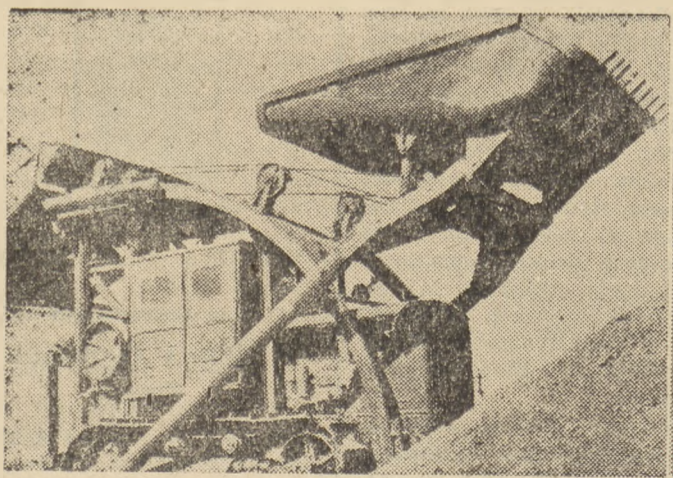
Ciekawością Ashgabadu jest muzeum słynnych dywanów turkmeńskich, niesłusznie zwanych u nas „bucharami”. Kobiety turkmeńskie doszły do prawdziwego mistrzostwa w tkaniu dywanów, co jest tym bardziej zdumiewające, że do niedawna posługiwały się najprymitywniejszymi krosnami.

Od 35 lat Ashgabat jest ośrodkiem wielkiej rewolucji kulturalnej, jaką przeżywa cała ludność Turkmenii. Aby uświadomić sobie rozmiary tej rewolucji, należy pamiętać, że przed I wojną światową 99 proc. Turkmenów nie umiało czytać ani pisać, dziś zaś obowiązują tam siedmioletnie nauczanie i ponad 200.000 dzieci pobiera naukę w języku ojczystym, w szkołach podstawowych.

Rozmiary rewolucji kulturalnej najlepiej można ocenić po stanowisku, jakie w społeczeństwie zajmowała przed Rewolucją i zajmuje dzisiaj kobieta. Jak we wszystkich krajach muzułmańskich — kobieta była szczególnie zacofana. Dzisiaj tysiące kobiet wyklada w różnych zakładach naukowych, a w bezpłatnej opiece lekarskiej, jaka obowiązuje dziś na terenie Turkmenii, pracuje 700 kobiet lekarzy. Ministrem Opieki Społecznej jest młoda kobieta, Azja Atanepesowa.

W r. 1939 Ashgabat liczył 127 tys. mieszkańców, a od czasów II wojny światowej ludność jego jeszcze wzrosła. Miasto posiada kilka teatrów dramatycznych, operę, balet, filharmonię, studio filmowe itd. W 1950 r. otwarto tutaj uniwersytet, a w 1951 r. Akademię Nauk. Ashgabat jest więc dzisiaj wielkim ośrodkiem kultury narodowej, który promieniuje na cały kraj.

Mateusz T. Milewski



Przy budowie Rzeki Szczęścia pracują doskonali młodzi specjaliści, którzy posługują się najbardziej nowoczesnym sprzętem technicznym

Zdjęcia C.A.F.



# POEZJA RADZIĘCKIEJ GRUZJI

## Rys historyczny

Początek dzieł literatury gruzińskiej sięga w zamierzchłą przeszłość pogańska — w każdym razie poza rok 337, kiedy chrześcijaństwo stało się oficjalną religią kraju. Świadczy o tym fakt, że już pierwsze tłumaczenia Pisma Świętego na gruziński dokonane są w języku literacko ukształtowanym, o jednolitej i ściśle sprzyzwanym piśmiennictwie. Niestety, z dzieł ery przedchrześcijańskiej do naszych czasów nic nie przetrwało.

Pierwszy oryginalny gruziński utwór typu hagiograficznego („Męczeństwo Szuszanki”), pochodzący z drugiej połowy V wieku, zapoczątkowuje dzieje gruzińskiej prozy, liczącą dziś już — jak z tego wynika — pełne plejada utworów. Szczytowym osiągnięciem literatury tego typu był „Zawot Grzegorza z Khandza” Jerzego Mercaziwego (połowa X w.), jedno z największych arcydzieł światowej prozy średniowiecznej.

Najdawniejsze oryginalne utwory poetyckie (pieśni religijne) powstały w VIII w. Z tego samego okresu pochodzi również hymn na cześć św. Abo, stanowiący IV rozdział dzieł jego męczeństwa (pióra Jana Sabanidze). Wreszcie świecka poezja zapoczątkowuje „Pochwała mowy gruzińskiej”, pisana rymowaną prozą przez nieznanego mniemano z klasztoru św. Sawy koło Jeruzolimy (IX w.). Ale właściwe dzieje poezji gruzińskiej zaczynają się dopiero w XII w.

Niestety, prawie cała literatura tego najwspanialszego okresu kultury gruzińskiej zaginęła. Ale i to, co z XII w. cudem ocalało, imponuje nam swoim rozmachem.

Z dzieł ściśle poetyckich, jakie z tych czasów do nas dotarły, należy wymienić przynajmniej panegiryczny poemat Jana Szanteiego „Abdul-Mesja” oraz ody na cześć królowej Tamary pióra Czachruchadze; dalej — przekazane w ustnej tradycji — fragmenty fantastycznego poematu Mojżesza z Chond („Amran Daredzianiani”) i nieopublikowanej epopeji Szoty Rusthawalego „Rycerz w tygrysięj skórze” (Vapsh Tkosani). Mówiąc natomiast o wszystkich pozostałych utworach genialnego poety (a było ich, według słów samego Rusthawalego, sporo) zginięły bezpowrotnie.

„Rycerz w tygrysięj skórze” jest najwspanialszym wykwitem gruzińskiej poezji rycerskiej i w pełni zasługuje na to, by umieszczać go obok arcydzieł literatury światowej. A jest arcydziełem przede wszystkim dlatego, że jego fabuła, treść ideowa i forma posiadają ze sobą w nieskończonym doskonałym harmonii Akcja, tocząca się z lekkością i wdziękiem, uskrzydla pozornie ciężką szesnastogłoskową wiersz, najdoskonalej właśnie uwydatniając metafizyczne dźwięki mowy gruzińskiej.

Ta natchniona pieśń o doskonałej natury ludzkiej była dla patriotów gruzińskich — przez całe osiem wieków — źródłem otuchy i wiary w nieśmiertelność narodu gruzińskiego, mimo że na stronach „Rycerza” ani razu nie padło słowo „Gruzja”. Cała akcja toczy się daleko poza jej granicami, Awanturą jest Arabami, a Tamerlanem — Hladusom. Powinno ich w zasadzie dzielić wszystkie poglądy na religię, a kohezję na języku. Tymczasem ich to właśnie połączyła przyjaźń na smleń i życzliwość. Bowiem prawdziwie niekochanie swego kraju nie wyklucza przyjaźni między synami różnych narodów, a dla wyrażenia miłości ojczyzny nie trzeba nawet wymawiać jej imienia.

Od czasów Rusthawalego i aż do końca wieku XVIII powszechnie używaną przez poetów formą wiersza stała się „szairy” — a więc w sensie taki wiersz, jakim pisany był „Rycerz w tygrysięj skórze” — sześnastogłoskowy w ramach strofy czterowierszowej, rymowanej się według zasady aaaa. Jedynie bardzo nieliczni poeci, ulegający wpływom perskim (jak Tejmuraz Pierwszy i Besiki) stosowali inne typy wiersza.

Ale pomiędzy Rusthawalem a jego następcami z XVII i XVIII w. leżało pięćset lat absolutnej pustki. Nie było to bowiem czasy sprzyjające twórczości literackiej. Poprzez Gruzję przejeżdżały się nieustannie hordy Mongołów, Turkmenów, Turków Osmańskich czy Persów, mordując ludność i niszcząc pamiat-

ki kultury — w tym liczne księgozbiory.

Tzw. „Odrodzenie” zaczęło się dopiero gdzieś w połowie XVII w. Zapoczątkował je Tejmuraz Pierwszy, wielkiel poeta paraskiej, piewca słowików zakochanych w różach i przeciwnik estetycznych poglądów Rusthawalego. Po nim, ale śladami twórcy „Rycerza”, pójźnie cała plejada koronowanych przeważnie poetów końca XVII i pierwszej połowy XVIII w.: Arcyzles II, Wachlang VI i Tejmuraz II oraz Peszangi Bertkadze i Józef Sahakadze (Tbileli), tudzież świetny prozaik Sulchan Saba Orbeliani — jeżeli pominiemy mniej znanych. Powstają rzeczy o nieprzemijającej wartości, którymi mogłaby się słusznie poszczycić niejedna z wielkich literatur europejskich.

Jeszcze większe ożywienie życia literackiego przypada na drugą połowę wieku XVIII, kiedy rozpoczyna swą działalność literacką sędziwy już wówczas Dawid Guramswili (1705 — 1792) i piewca zmysłowej miłości, hedonista Besiki (1750 — 1791). Trubadur XVIII w., ormiańin Sajat-Nowa, uклада przy dworze gruzińskiego króla Heraklesa II swe piękne miłością pieśni: gruzińskie, ormiańskie i azerbejdżańskie.

W pierwszej połowie XIX w. literatura gruzińska wkracza w okres romantyzmu. Termin ten nie jest tu zresztą ścisły. Swój Sturm-und Drangperiode, z łamaniem starego światopoglądu i zaciekłą walką dwóch pokoleń, Gruzja przeżyła znacznie później, bo dopiero w połowie wieku. Gruziański romantyzm (bez upiorów i innej „diabelszczyzny”) raczej „stał się” niż wybuchnął, a widomym wyrazem zachodzących przemian było przede wszystkim zarzucenie starego „szairy” i wprowadzenie ogólnoeuropejskich zasad wierszowania abab oraz znaczne rozszerzenie wachlarza tematów.

Ale „pokojowość” tych przemian była raczej wyrazem ewolucji upodobania niż braku temperamentów. Czołowi romantycy Gruzji: Aleksander Czawczawadze, Grzegorz Orbeliani i — przede wszystkim — Mikołaj Barataszwili, reprezentowali bardzo wysoką klasę twórców, a ujęcie dla swej pasji polemicznej znajdowali w walce o wolność ojczyzny, której przeszłość ponad wszystko gloryfikowali.

Pierwszy z nich, Aleksander Czawczawadze (1793 — 1846), nazywany gruzińskim Anakreontem, był — podobnie jak Besiki i Sajat-Nowa — przede wszystkim piewcą miłości. Tylko, że gdy tamci dwaj mówili językiem tak orientalnie kwiecistym, że czasami aż niezrozumiałym, ten tworzył erotyki pełne czarującej prostoty o nieprzemijającym wdzięku. Jest również autorem szeregu utworów patriotycznych (w których przeważa ton elegijny) i głośnego wiersza światoburczego — „Bieda światu”, który dziś jeszcze robi potężne wrażenie.

Dużo wszechstronniejszy od niego był Grzegorz Orbeliani (1800 — 1855), epikurejczyk w stylu Petroniusza, któremu nieobce było również wytworne kpiarstwo rzymskiego „arbitris elegantiarum”. Wiersze jego cechuje — obok romantycznej pasji — niezwykle precyzyjna, „trzoźwa” panowanie nad środkami artystycznymi, co nadaje całości jego dzieł ogromną harmonijność.

Trzeci z „wielkiej trójcy” gruzińskich romantyków — Mikołaj Barataszwili (1817 — 1845), to zjawisko zupełnie wyjątkowe. Tamci dwaj są wielcy na miarę literatury ojczyzny, ten — na miarę światową. Jako twórca bliższy jest Słowackiemu i Lermontowowi niż Mickiewiczowi i Puszkynowi. Jeżeli poczyna jego nie zyskała światowego rozgłosu, to przyczyną szukać należy nie tylko w niedostępności języka gruzińskiego, ale — i to przede wszystkim — w tym, że Barataszwili był przez współczesnych jako poeta zupełnie niedostrzegany. Za życia nie był drukowany ani jeden z jego wierszy, a rękopisy ich po śmierci autora przeważnie zaginęły. Teraz, od stu przeszło lat, szuka się ich pośród szambuchach i w prywatnych odpisach. Dołychezas znaleziono w sumie 42 utwory — w tym 41 arcydzieł skończonych pieknej liryki osobistej, o silnych akcentach Welt-

schmerz i jeden poemat historyczny „Losy Gruzji” — w sumie niewielki tomik, stanowiący skondensowane piękno.

Przewartościowanie pojęć, ów długo oczekiwany w literaturze gruzińskiej „okres burzy i naporu” nastąpił dopiero wtedy, gdy doszło do głosu pokolenie lat sześćdziesiątych, tzw. Tergdaleuli („tych, co napili się z wód Tereku”). Ta dziwaczna nazwa oznaczała po prostu, że pokolenie to pobierało naukę w Rosji, a więc poza rzeką Terekciem. Młodsi Gruzini, wychowankowie uniwersytetu petersburskiego, po powrocie do ojczyzny stali się gorącymi propagatorami reform społecznych i hasel nowego, ludowego patriotyzmu. Jednocześnie rozpoczęli walkę o reformę języka literackiego, wprowadzając doń elementy mowy ludowej. Walka, która wtedy rozgorzała, obfitowała w momenty wielkiego napięcia — niemal nienawidzieli pomiędzy dwoma pokoleniami.

Na czele kierunku Tergdaleuli, który przybrał oficjalne imię Pirweli-dasi (pierwsza grupa) stali wybitni literaci nowego pokolenia: Eliasz Czawczawadze, Akacy Cereteli i Jerzy Cereteli — poeci, prozaicy i autorzy dramatyczny zarzem, a przede wszystkim publicyści, obdarzeni niepoopulitym temperamentem. W twórczości literackiej pierwszych dwóch przeważała poezja, w twórczości trzeciego — beletrystyka.

Wódz nowego kierunku, Eliasz Czawczawadze (1837 — 1907) mimo głoszenia pozytywistycznych hasel, był czystej wody romantykiem i autorem wspaniałych wierszy. A. Cereteli (1840 — 1913), choć w swym antyromantycznym credo („Poeta”) dowodził, wbrew Mickiewiczowi, że „mędrcu szkielek i oko” więcej mówi poezie niż czucie i wiara, również nie był wolny od wpływów kierunku, który tak namiętnie zwalczał. Słowem, les extrêmes se touchent.

Z „pierwszej grupy” wyłonił się w roku 1869 nowy kierunek: burzawyj no - republikański. Meore-dasi, (Druga grupa) pod patronatem Jerzego Ceretiego, by w 24 lata później (w r. 1893) wyłonić z siebie ugrupowanie już czysto marksistowskie, socjaldemokratyczne — „sarnie — dasi, czyli Trzecią grupę. Wokół niej zgrupowały się ostatnie poeci z ludu, którzy w osiemdziesiątych latach po raz pierwszy wejda do literatury, jaka była do wyczerpania wyłączną domoną kilkunastu arystokratycznych rodów (Czawczawadze, Orbeliani, Barataszwilowie, Ceretelowie i Eryslawowie przede wszystkim).

Pierwszy poeta z ludu, to góral Waża Pasawela i jego mniej ulatentowany brat Bazana (prawdziwe nazwisko obu — Razikaszwili). Starzy z nich Waża (1861 — 1915) był jedną z najwspanialszych postaci w dziejach literatury gruzińskiej, poeta najzupełniej oryginalny, nie mający żadnych powiązań z poprzedzającym go nurtem rodzimej literatury. Niepotównany mistrz słowa, szczególnie w kreśleniu krajobrazów, a zarazem myśliciel o bardzo oryginalnym własnym poglądzie na świat, zamknął się Pasawela w wąskim kręgu legend i podań półdziejnych szepów góralskich, poświęcając im kilkanaście świetnych poematów.

Nurt proletariacki w poezji zapoczątkuje Józef Dawitaszwili (1850 — 1887), a marksistowski — Irdlon Jewdaszwili (1875 — 1915). Ten ostatni jest poetą dużej klasy, ale załamuje się na skutek upadku rewolucji 1905 r. Do jego szkoły należą tzw. „poeci demokratyczni”, z Noe Czelek wadze na czele, którzy przeżyli pierwszą wojnę światową i weszli w rze czystości radziecką. Obok nich znaleźli się w niej poeci z ugrupowania tzw. akademickiego, „niebiańskorozzy” czyli po prostu symboliści i futurysty. Do pokolenia tego należą też znacniejszych poetów: A. Abaszeli, K. Cyczynadze Sr. Cyczkowan, Ho Mosaszwili, G. Tabidze i in., a do młodych, których indywidualność twórcze ukształtowały się już w atmosferze nowej rzeczywistości: G. Abaszde, A. Gomiaszwili, K. Kaladze, A. Mircebulawa i (z najmłodszych) J. Noaszwili. Jedni i drudzy znaleźli swoje miejsce w gruzińskiej literaturze radzieckiej, przyczyniając się wspaniałym wysiłkiem do jej obecnego rozkwitu.

## SZYMEON CZYKOWANI KTO MÓWI

*Kto mówi, że maleńka jest  
Moja ojczyzna Gruzja cała,  
Że kraj mój — to niewielka rzecz?  
No pomyśl: moja Gruzja mała!*

*Postaw-no góry na kark gór  
I srebrem otul je w tumanie,  
Podsluchaj orły pośród chmur,  
Jelenia wabiącego łanie.*

*I oceń naszych zamków wdzięk  
Oczyrna znawcy dawnych czasów,  
A tajemnice mrocznych wętek  
Pomnóż przez barwy naszych lasów.*

*Zmierz skrzydła górskich huraganów,  
Gdy biorą szturmem skalne mury  
I bulgot naszych rzek-szatatów  
I włócznie lodów na tle chmury.*

*Ręką zahartowaną w boju,  
Dotknij pamiątek naszej chwały —  
Wówczas ukaze ci się twojej  
I mej ojczyzny ogrom cały.*

*Ktoś mówi, że maleńka jest  
Nasza ojczyzna Gruzja cała,  
Że kraj nasz — to niewielka rzecz!  
No pomyśl: nasza Gruzja mała!*

## KONSTANTY CZYCYNADZE BAZAR W MERWIE

*Oto i dzień targowy w ojczyźnie Ramina —  
Zgrzybiły Merw czei święcie stare obyczaje.  
Nieustannym potokiem toczy się lawina  
Chłopów wierchem na osła h — ze wszystkich stron kraju.*

*Przebierając nogami i uszami trzępiąc,  
Śpieszą osły na bazar, by zdążyć na targi,  
Wielbłądy wielkogarbne z szerokiego stepu  
Brzękają dzwoneczkami, wydymając wargi.*

*Podobnie było kiedyś, gdy potokiem piany  
Przewalały się tedy ludy i plemiona;  
Jako znak zostawiły po sobie kurhany,  
Z podświadomej tęsknoty do sławy — po zgonach.*

*Uciekały przed nędzą, przed głodem i żarem,  
Pędziły je złe bogi i własne tyrany,  
Słońca pustyni spalały im twarze pożarem,  
Jedne szły poprzez Ural, inne na Irany.*

*Wciąż naprzód! Dobra była dla nich każda droga,  
Na koniach i wielbłądach, na osie czy byku...  
Twarze ich wykrzywiła wściekłość, oczy — trwoga.  
Rzęgli z dzikimi śmiechy w historycznym krzyku.*

*Zdeptali żywe pola... Wyniszczone lasy  
Już przed nimi nie mogły stanować ostony  
Dni spędzali w pijanym bitewnym hałasie,  
A po nocach pieściłi swoje brudne zony.*

*Zostawiając po sobie potok krwi i moczu —  
Jako ślad swoich zwycięstw — parli wciąż przed siebie.  
Ryk krów im towarzyszył w skwarny dzień i nocą,  
Beczenie owiec gąsto na zachodnim niebie.*

*Z krzykiem spłoszonych kawek ludzie od nich biegli  
I padali, jak liście spadają na grudy.  
A na miejsce umarłych, nową hordą wśledziła,  
Party z bruchów koczownic najezdnicze ludy.*

*Aż osiedli. I nagle wyczerpał się stary  
Zdrój wiecznych niepokojów — ląd wielki a dzieli,  
W sercach, gdzie złość się brała z rozpaczą za bary,  
Gniew ostygł i umilkły buntownicze krzyki*

*Na twarzach ludzkich odtąd spokój się rozleje  
I w promieniach słonecznych roztopi się cień...  
Dziś Merw na swoim święcie dorocznym się śmieje,  
W ożywioną dzień targów i powitań dzień!*

Bohdan Gębarski

Przekład Bohdana Gębarskiego

## Z TEATRÓW STOŁECZNYCH

## NOWA SZTUKA AUDERSKIEJ

„Rzeczpospolita zapłaci“ nie jest niespodzianką. Już po zeszłorocznych „Zbiegach“ wystawionych w warszawskim teatrze „Ateneum“ wiadać było jasno, że dla Haliny Auderskiej sztuka historyczna, to nie widowisko czy szereg luźnych obrazów z naszej przeszłości. „Zbiegowie“ mieli wyraźną fabułę, akcję z wężem dramatycznym, przy jedno-

duży nieszczęśliwego króla. Auderska sięga znów do tego tematu, inaczej go jednak oświetlając. Sprawa Zygmunta, Bony i Barbary nie jest tak prosta. Jest ona wypadkową sił politycznych działających w ówczesnej Polsce, a nawet wypadkową sił międzynarodowych. Wszak obok magnatów, Radziwiłłów, Tarnowskich i Kmitów — występują w sztuce,

wewnętrzny — szlachcie. Czekają również poselstwo francuskie, pragnące przez królewski mariaż utrwalić swoje wpływy w tej części Europy.

Na tym tle występują dopiero wielkie plany polityczne Bony, wielkie zamiary Frycza Modrzewskiego, małe ambicje królewskich zauszników. W tym kontekście sylwetka Barbary nie zawisa w próżni. Sylwetka ta zarysowana jest przez Auderską bardzo trafnie. Nieszczęśliwa, trawiona nieuleczalną chorobą, widzi jednakże przed sobą cel, do którego dąży nie bacząc na środki — koronę: „Oddałabym życie, żeby choć jeden dzień mieć ją na skroniach. Za tyle upokorzeń...“

Pragnie tego z całą siłą istoty upokorzona, ludź króla nieraźną nadzieją potomka i tym właśnie sprawę wygrywa. Zygmunt August do ostatniej chwili waha się, ulega chwilami wpływowi Frycza, który mu przypomina obowiązki monarchy, wycofuje się jednak szybko pod pretekstem królewskiej woli, niezawisłej od niczych rozkazów. Triumfuje Barbara, Tarnowski i — nieobecny — cesarz Ferdynand. Przegrywa Bona i — pozornie — Frycz Modrzewski. Przegrywa bowiem grę o Zygmunta Augusta. Walki o sprawiedliwość nie zaniecha jednak, prowadzić ją będzie, w trudniejszych już warunkach — nadal.

Znakomita gra zespołu Teatru Narodowego wydobyla wszystkie walory sztuki. Na pierwszym miejscu

wymienić tu należy dwie znakomite kreacje — Bony i Barbary. Ewa Kunina stworzyła Bonę nie przebieającą w środkach, dumną — w tym jednak wypadku sprzymierzającą się ze szlachtą przeciwko znieprawionej synowej. Gorący południowy temperament Włoszki znalazł w Kuninie świetną odtwórczynię. O jej grze można by napisać studium — jest subtelna, zróżnicowana.

Barbarę gra Hanna Skarżanka. Wydaje się, że jest to jedna z najlepszych jej kreacji, jakie oglądaliśmy ostatnio. Jej bohaterka spełnia w sztuce rolę wyraźnie negatywną. Skarżanka to widzi, widzi w niej jednak i człowieka cierpiącego. Barbara jest dumna, jest egoistka, egoizm jej wszakże nie jest zimny, lecz żarliwy i płomienny. Scena z Boną w ostatnim akcie należy do najświetniejszych.

Andrzej Szczepkowski dał postaci Zygmunta Augusta głęboko wbijającą się w pamięć. Zakochany, przede wszystkim zakochany, jest on przecie człowiekiem wykształconym i rozumnym, przeszkadza mu tylko namiętność i duma. Węzła spłatanego wokół swojej osoby nie umie rozplątać, woli go rozciąć, gdy uszłuch ni magnaci podadzą mu miecz. Postać plastyczna i wielowymiarowa. Alternatywa Felińskiego: obowiązek — miłość nie jest tu taka prosta, splatają się wokół niej czynniki, sensu stricto, polityczne.

I jeszcze Frycz Modrzewski. „Nie wiem, czy udało mi się ukazać Frycza takim, jakim był naprawdę —

pisze Auderska — głębokim myślicielem, żarliwym obrońcą pokrzywdzonych, człowiekiem niezłomnym, odważnym, niezłomnym do pochlebstw i kompromisów, żyjącym nie dla siebie, walczącym nie o własne szczęście“. W wykonaniu Tadeusza Łomnickiego takim był rzeczywistocie, choć, w porównaniu z postaciami Bony, Barbary czy Augusta — zbyt mało plastyczny, pozytywnie znający wahań i załamania. Może to i prawda, historycy bowiem taki portret Frycza przekazują — sztuce scenicznej jednak nie wychodzi to na korzyść.

I dlatego „Rzeczpospolita zapłaci“ — to przede wszystkim dramat o Zigmuncie Augustu, Barbarze i Bonie, wzbogacony o postać Frycza i całą problematykę społeczno-polityczną okresu, a nie sztuka o Fryczu. To nie pretensja, lecz stwierdzenie. Przyznaje się do tego i sama autorka. Kto wie, czy tak nie lepiej — oglądamy bowiem nie kilka obrazów z życia wielkiego człowieka (co już się mogło sprzykrzyć), lecz pełnokrwisty dramat.

Jan Kosiński i Romuald Nowicki dali zarówno bogate, jak i znakomite dekoracje (wspaniałe komnaty wawelskie, realistycznie odtworzona sala zamku w Piotrkowie). Z równym smakiem dobrał do nich barwy kostiumów, umiarkowane w tonie, podkreślające jednak cały przepych Odrodzenia. Odbijały się bardzo korzystnie od zbyt jaskrawych kostiumów Axera w „Drodze do Czarnolasu“.

Jan Ryszard



„Rzeczpospolita zapłaci“. Akt II: Ewa Kunina (Królowa Bona), Anna Skarżanka (Barbara Radziwiłłówna) i Andrzej Szczepkowski (Król Zygmunt August) fot. C.O.P.A.

czesnej obserwacji środowiska, obserwacji realistycznej i bezwzględnej. Lekkie przerysowania nie raziły w tym stopniu, co na przykład niezrozumienie właściwej roli Reja w kontekście szesnastowiecznego społeczeństwa polskiego w komedii Ludwika Hieronima Morstina „Polacy nie gesi“ granej obecnie w Teatrze Polskim.

I druga sztuka historyczna Auderskiej — sztuka o Fryczu Modrzewskim i Zigmuncie Augustu — także nie wytrzymuje porównania in plus — z utworem Morstina czy nawet sztuką-poematem Maliszewskiego o Kochanowskim. Poziomem artystycznym rzecz Auderskiej zbliża się do „Króla i Aktora“ Brandstaettera, choć struktura tych obu sztuk jest zupełnie inna. „Król i Aktor“ — to „sceny dramatyczne“, „Rzeczpospolita zapłaci“ — to dramat. Dramat z wyraźną fabułą i akcją, wciągającą widza w krąg intrygi i zawiści rozsnuwanych wokół osoby młodego króla, który obejmuje władzę Korony i Litwy po zmarłym właśnie ojcu. Rozgrywa się zacięta walka o wpływ na monarchę. Z jednej strony magnateria i karierowicze, z drugiej stara królowa Bona, biska wtedy — z pobudek czysto osobistych — obozowi szlachty. Obóz ten reprezentuje na dworze sekretarz królewski, Andrzej Frycz Modrzewski, otoczony wiernymi szlachtą i mieszczanami, których rzecznikiem staje się także.

Zasługą Auderskiej jest pokazanie, że Frycz w swej walce nie był samotny, że był on prawdziwym przedstawicielem owej rzeszy, że nie działał niezrozumiany. Inaczej — i przez to fałszywie — przedstawił swego Reja Morstin.

Alojzy Feliński, pisząc „Barbarę Radziwiłłównę“, położył główny akcent — w myśl pseudoklasykcyjnej reguły — na walkę między obowiązkiem a uczuciem, jaka toczyła się w

acz niewidoczni, postowie habsburscy. Czekają oni na zrzeczenie się praw Jagiellonów do Węgier, czekają i przyrzeczenia, że cesarz Ferdynand będzie miał prawo bronić Zygmunta Augusta przeciwko wrogom

## TEATR W TERENIE

## KALISZ

## Komedia, ale jeszcze nie ta...

CHOC miejsce pogardzonej prowincji zajęły dziś wysoce cenione „teren“, nadal niewiele obojętnej najkrótszych wiadomości spoza centrów kulturalnych dostaje się na łamy naszych pism. Teatr terenowy, by zasłużyć na wzmiankę, musi zwykle zdobyć się na niebyłe odwagę wystawienia prapremiery polskiej sztuki. Nigdy też nie zobaczyłbym ślicznego teatru im. Bogusławskiego w Kaliszu i nie podziwiał starannej gry zespołu, gdyby nie „Pajęczyna“. Można rzec, omotała mnie i pociągnęła nowa polska komedia satyryczna, na której wystawienie zdecydowały się równocześnie Opole i Kalisz, a przygotowanie zapowiedziano Nowa Huta. Pociągnęłam się też w czasie niewygód mojej kaliskiej peregrynacji nadzieją ujrzenia satyry, równie ostrej jak dowcipnej.

Jeszcze przed rozpoczęciem przedstawienia mój optymizm został zakłócony przez samą M. Czernerle — autorkę, kiedy zamiast programu wreczono mi zadrukowaną kartkę w formie intymnego listu do widza, napisaną głównie w celu przekonania go, że fakty są autentyczne, najprawdziwsze. Przygodny widz był raczej zdziwiony, że nawet autorka nie wierzy w pełną sugestywność swego utworu i musi udelać się do obwarowań; stał się nieufny i podejrzliwy.

Okazuje się jednak, że z ostrzem satyrycznym komedii nie jest tak źle, satyra przetrwała właściwy temat utworu, jakim jest sprawa rozdzielstwa miejsc do sanatorium w Krynicy. Sztuka utożsamia w sedno, w kumoterstwo, dzięki któremu utrzymuje się klan „strasznych mieszczan“. Autorka w odezwie do widza wyraża nadzieję, że sztuka spełni swą rolę w miedzi, kiedy znajdujący się na seku Kukulka, Rączkiewicz czy Bombalicka (nazwiska negatywnych bohaterów) poczują się urażeni i nie na miejscu. Przy tak minimalistycznym założeniu sztuka spełnia swą rolę, jeżeli jednak na sali obok Bombalickiej znajduje się np. majster Kowalski, to ma prawo zabawić się i pośmiać. Gdy chcemy zobaczyć walną rozprawę ze szkodnikiem, wystarczy sala sądowa, gdzie niezgodnie, a więc rozrywki — nie szukamy.

Wysiłki autorki, aby komedia była także źródłem rozrywki, są uwiecznione skromniejszym rezultatem. Wprawdzie włożono sporo starań, czasem w sposób dość naciągany, by w komedii umieścić możliwie największy ładunek żartu i dowcipu; nosicielami komiczności są nawet postaci „pozytywne“, pokpiwające z gazetowo-sloganowego stylu publicystyki... Cóż, kiedy niweczy te wysiłki podstawowy błąd sztuki, który leży w jej kompozycji: brak tempa i nerwu scenicznego sprawia, że widownia ku końcowi coraz słabiej reaguje na akcję.

Aktorzy robili wszystko, ażeby wyzyskać komiczność utworu; dochodził nawet na tym tle do pewnego nieporozumienia (ból brzucha służącej Adeli budza miast współczucia żywy śmiech na sali), ale może w ogóle nie pasują takie chwytły do komedii i inaczej przyjęte być nie mogą?

Kończąc — „Pajęczyna“ mimo pewnych zalet nie jest jeszcze tą komedią, na którą czekamy.

J. D.

## U Dolnośląskiej Melpomeny

WYTRAWNY jak stare wino Piotr Corneille, rozważając subtelności klasycznych reguł w dziedzinie teatru, wyraził mniemanie, że ideałem byłoby zrównanie czasu trwania akcji dramatu z czasem trwania widowiska. Osiągnęłoby się wtedy pełne złudzenia: „Przedstawienie trwa dwie godziny i wtedy byłoby doskonale podobne, gdyby akcja, którą ukazuje, nie wymagała więcej czasu w rzeczywistości“. (DISCOURS DES TROIS UNITÉS, 1660 r.).

W świetle takich rygorystycznych mierników — Roman Bratny w ostatniej sztuce dopuścił się mielada jakiej herezji. Zagęścił bowiem w dwóch godzinach przedstawienia aż SZESĆ GODZIN CIEMNOŚCI. Jeżeli mistycyzm jest między innymi — bardzo realny, autor nie pokazał na scenie. Chodzą o nich tylko słuchy, materializują się one jedynie na ekranie przeżyć widzących „osób dramatu“. Zdaje się, że dzięki tej metodzie „przekaznikowej“ stępiło się ostrze zagadnienia: rzeczywistości wijskiej odebrano pełny wymiar. Walka i dynamika — przeistoczyła się w rezonansowo i statykę. Tak, bohaterowie, nawet ci najbardziej mierni, Chrabąszczowa i Łosiak są rezonerami. Chrabąszczowa, co tu dużo gadać, kobieta „śwerna“, chyłka w języku, z bystrym pomysłem, krewka i zamaszysta, wiele robi szumu, ale to wszystko — to są tytady z aromatem swoistego klasycyzmu retoryki „wiosowej“, umieszczające sprawę dramatyczną w niedramatycznym dystansie. Stróż tajni spółdzielczej, Łosiak, któremu powierzono pieczę nad centrum siły napędowej (traktory przyjadą później, co autor obiecuje w komentarzu dodanym do programu), owóż ten Łosiak ma na sumieniu rozmaite łajdactwa łącznie z pożarem, co tak katastrofalnie podważył byt spółdzielni. I tu taj znowu przeladował Bratny ciężar winy i kary z działania na opowiadanie. Łosiak monologuje i toczy dialogi. Duża w tym, zaiste, niewymierność między treścią, która wprost płynie w konkretności i formą, która ten konkret filtruje w alembikach „mowy pośredniej“ — aż go rozciągnęła w abstrakcję.

W czasie całego przedstawienia widać słucha, słucha i słucha. Postacie mówią. Wchodzą, wychodzą i mówią: o workach cukru, które w „złotych plotkach“ (określenie Bratnego) są już rozparcelowane między beniaminków losu, o umierającym synku Walczaka, o szczęgółach pożaru rozświetlających mrok zbrodniczych matactw, o ciężarówce przebijającej się przez śnieżne zwa-

ły, o dalekim sseferze Wacku, o skłaniającej się ku niemu sympatią buchaltera Łosiakównie... Za oknem śnieg, zasypi i mróz. Taka spółdzielczona, nieszekspirowska „opowieść zimowa“.

Słowo nie jest tu peryskopem wyławiającym przedmiot do... dramatycznego stoperdowania. Reżyserowała SZESĆ GODZIN CIEMNOŚCI (w TEATRZE MŁODEGO WIDZA) Stanisława Zbyszewska i reżyserowała trochę... po omacku. Wszystkie postacie „siedzą“ na pierwszym planie. Brak perspektywy. Gdy zjeżdża do osi spółdzielczej przedstawiciel powiatu, Fudali, gdy rozmawia z przewodniczącym Walczakiem — widzowi się zdaje, że to są właśnie osoby główne. Później zjawia się Łosiak i bezceremonialnie panoszy się na scenie, wytrącając, jak z rekawa, zjadliwe dowcipy, piniąc się od podejrzeń, kłnąc nowe porządki i zakrapiając stare kupioną za gotowizną kulaką monopolka. Co więcej — z jego rozmów wynika, że nabroń sporo, że ociera się po prostu o kryminal. Znowu główna osoba. Reżyseria z ogromną pasją wydobywa charakterystyczność wszystkich po kolei postaci. Rezultat ten, jaki Stanisław Witkiewicz dostrzegł w niektórych malarzy: wybujałość szczegółów, stłoczenie ich na jednej pierwszoplanowej przestrzeni — zamaczają głębie, zacierają dalsze plany. SZESĆ GODZIN CIEMNOŚCI, sztuka o konstrukcji wcale nieprzejrzystej, domaga się w reżyserii raczej konstrukcyjności niż charakterystyczności.

Cóż powiedzieć o aktorach? Byli w trudnym położeniu. Takie role „opowiadane“ — to zmusza. Aktor rozgrzewa się w ruchu, w tempie, w biegu zdarzeń. Tu było rezonansowo. Tu grało się opowiadaniem — nie działaniem. „Widz — powiada Stanisławski we wspomnieniach Górczakowa — z zaciekawieniem wysłucha wasze opowiadanie — widowisko i prawdopodobnie nazajutrz odezwie się o nim przychylnie do swego sąsiada. Ale go nie wyciągnie z pościeli, nie rozbudzi po przyjeździe do domu z waszego przedstawienia i nie powie mu: „Idź, zobacz, oni tam przedstawiają to, o czym przeżywali dwa lata temu.“ Aktorzy robili wszystko, żeby rozdmuchać iskielki akcji. Nawet... szarżowali: Chrabąszczowa, (Stanisława Zbyszewska) w babskim gadulstwie, Łosiak, (Antoni Odrowąż) — w bezczelnym chłopkim demonaństwie, sofer Wacek (Andrzej Jędrzejewski) — w kawalerskim rezonie, Walczak (Ludwik Dziennik) w mruczkowym filozofowaniu. A jednak w sumie „opowiadanie - widowisko“. I gdy kurtyna spadnie, gdy znajdziemy się w domu, nie obudzimy sąsiada, żeby mu powiedzieć: Idź, zobacz, oni tam przedstawiają to, co przeżywamy ciągle, na każdej wsi niemal. Jag.

## CZYTAJCIE

„SŁOWO Powszechne“  
PISMO CODZIENNE

## O pisaniu opowiadań

(Dokończenie ze str. 6)

kie proporcje (bo malarz Grochowiak — to jakiś tam początkujący malarz, a malarz Łączkowski — to Vincent Van Gogh, można powiedzieć, że mamy tu w obu wypadkach do czynienia z zagadnieniem malarza-człowieka. Co z nim zrobił Łączkowski? Łączkowski utopił człowieka w pejzażu (tak nawet poetom tego nie wolno). A co z nim zrobił Grochowiak? (Z malarzem oczywiście, a nie z Łączkowskim) Grochowiak sporządził miksturę według recepty na artystę, która brzmi: snob plus dowolna ilość miligramów wrażliwości. Otóż biorąc tę receptę poważnie, tak jak Grochowiak, a nie satyrycznie czy demaskatorsko, uważam, że recepta jest fałszywa. Zdawałoby się, że czasy snobizującej się cyganerii dawno już diabli wzięli, tymczasem Grochowiak twierdzi przeciwnie. Nie kwestionuję szczerości intencji adepta Grochowiaka, ale jeśli owe koczodany nuprawdę istnieją (w cichości przyznam, że sam je widuję czasami), to obowiązkiem pisarza jest je wyśmiać, wyszydzić i wystrychnąć na takich dudków jakimi w rzeczywistości są. Bo dudki, o czym wiemy skoro zobaczą, że jest dudkiem, przestanie być dudkiem.

Grochowiak popełnił zasadniczy błąd. Przede wszystkim przyrządzając miksturę wziął naczynie stare i zardzewiałe — sznecle z rupieciami przebrzmiałej epoki. Należymy to naczynie alien bikiem odrębności. Warzyli w nim, swego czasu, aromatyczne i gęste napoje tacy, specje, jak Oscar Wilde czy James Joyce. Dziś ich sztukę możemy nazwać aichmizją. I zapewniam adepta Grochowiaka, że to zasadnicze zdanie o jego malarzu, które brzmi: „W spotkaniu z Aurą zatraciła się w nim odrębność artysty” — że to zdanie, jest — najdelikatniej mówiąc — sztuczne. Mam nadzieję, iż Grochowiak podświadomie czuł to sam, budując aż tak wymyślną konstrukcję odrębności psychicznej i intelektualnej swojego malarza, żeby ją potem tym jednym zdaniem podtręślić i zdyskredytować. Chodzi nam, zaakcentujmy, o sprawę bardzo zasadniczą. Jeśli pisarz, poeta czy prozaik, jeśli muzyk, kompozytor czy odwrócić, jeśli malarz, pejzażysta czy portrecista — nie jest tylko i wyłącznie c z ł o w i e k i e m, który współczuje, rozumie, ceni i miłuje ludzi, ale jest jedynie zamkniętym w so-

bie na wszystkie spusty snobem, wówczas nie wolno mówić, że jest dobrym artystą albo chociażby dobrym snobem. Tymczasem Grochowiak dowodzi, że jego Tonio jest rozumiejącym swój czas artystą. Tonio maluje obraz o pochodzie Pokoju, Tonio słucha z przyjemnością audycji „o budowie naszych obiektów przemysłowych”. Tonio ma śmiałość przeciwstawić się ojcu broniąc swoich przekonań. I Grochowiak jest z niego dumny, Grochowiak się z tego cieszy. A ja bym się martwił i to martwił solidnie. Czemu? Bo wyobraźcie sobie, że spotykam Tonio i nie doszręgając udrapowania w grochowiakową toż samobistyczno-artystyczną odrębności, podbiegam do niego i wołam: „Tonio, daj grabę, jesteśmy przyjaciółmi!” A Tonio mnie na to obrzuca ironicznym wzrokiem i idzie dalej, kontynuując monolog w stylu: „Grieg, sądzę, że on się mieści w zakresie mojego pojmowania barw...”

W sumie, proszę mi wierzyć, to nie jest napisać na adepta Grochowiaka. Obaj jesteście adeptami i myślę, iż adept adepta po przyjacielsku zrozumie. To tylko nasz wspólny przyjaciel, Stanisław Grochowiak, pozwolił sam się użyć jako przestrogi dla towarzyszy pióra. Mówicie, że w takim razie było nieuczciwie drukować autora tylko jako przestrogi? I tu trafiliście w sedno, bo nie tylko jako przestrogi. Opowiadanie Grochowiaka wbrew efekciarstwu, o którym pamiętamy, że nawet w niezłym stylu pozostaje zawsze efekciarstwem i wbrew smaczkom, o których zapamiętamy sobie to samo — opowiadanie Grochowiaka ma coś, co się liczy. Ma ciekawy, istotny i trudny problem. Chociaż leży on na tradycyjnej linii: ojcowie a dzieci, jest jednak uzbogacony o konkret naszych czasów. Co więcej, jest w znacznym stopniu typowy dla rodzin wywodzących się ze sfery dawniej uprzywilejowanych. Dajęcy się zauważyć w tych rodzinach konflikt między mieszczańską obciążoną postawą społeczno-polityczną starszego pokolenia a wyjęciem naprzeciw nowej rzeczywistości podjętym przez młodych — został w opowiadaniu Grochowiaka zanotowany. I tego należy autorowi jak najszczerzej pogratulować.

Jerzy Krzysztoń

# Festiwal Filmów Radzieckich

REGOROCZNY Festiwal Filmów Radzieckich, który stał się już tradycyjną imprezą miesięca Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, przynosi nam wiele nowych, ciekawych filmów radzieckich o różnorodnym charakterze i szerokim zakresie tematycznym.

Ujrzymy więc na naszych ekranach barwny film historyczno-biograficzny „Admirał Uszakow” reżyserii Laurenta Nagrody Stalinow-



kiej Michała Romma (m. in. realizatora filmów „Lenin w październiku” i „Lenin w 1918 r.”) Film ten opowiada o życiu Admirała Fiodora Uszakowa, wielkiego dowódcy floty rosyjskiej z końca XVIII i początku XIX wieku. Scenariusz pióra A. Szeina oparty został na znanej i cieszącej się dużym powodzeniem na scenach radzieckich sztuce tego samego autora pt. „Flaga admirałska”. Piękne opracowanie muzyczne tego filmu jest dziełem znanego kompozytora Chaczaturiana.

Drugi barwny film festiwalowy, to interesujący w koncepcji realizatorskiej „Revizor” według sztuki Gogola. Film, reżyserowany przez znanego twórcę W. Pietrowa, nie jest ani sfilmowanym spektaklem teatralnym, ani też adaptacją filmową sztuki, lecz twórczym, filmowym przeniesieniem na ekran wspaniałego dzieła Gogola. W opracowaniu filmowym dokonano nieznacznych skrótów i przestawień oraz rozszerzono akcję przenosząc niektóre epizody z wnętrza dekoracji w piener — uzyskując w ten sposób świetny, uzupełniający komedie obraz zatęchłego miasteczka prowincjonalnego czasów nikolajowskich. Aby w

pełni umożliwić rozpowszechnianie tego ciekawego filmu, został on zdubbingowany.

Następna pozycja Festiwalu jest „Przełom”, ekranizacja sztuki Borysa Lawreniewa w inscenizacji Leningradzkiego Wielkiego Teatru Dramatycznego. Film ten, to jeszcze jedna wartościowa pozycja z serii filmowanych spektakli, które takim powodzeniem cieszą się wśród szerokiej rzeszy miłośników teatru.

Czwarty film fabularny Festiwalu, produkcji gruzińskiej wytwórni w Tbilisi, to wesoła komedia muzyczna „Podstęp swatki”, oparta na narodowej gruzińskiej operze W. Dolidzego pt. „Keto i Kote” oraz na sztuce „Chanuma” napisanej przez klasyka gruzińskiej dramaturgii A. Cagarelego. Dobre opracowanie muzyczne kompozytora A. Kereselidze, który nie tylko wykorzystał najpiękniejsze melodie opery, ale i uzupełnił partyturę szeregiem melodii, połączyli realizatorzy filmu z plastycznym, pełnym folklorystycznego uroku obrazem życia feudalnej Gruzji — stwarzając interesującą całość.

Piąty film wyświetlany w ramach Festiwalu, to „Nierozłączni przyjaciele” reżyserii W. Żurawlewa. Jest to film młodzieżowy, którego bohaterem jest ambitny i zdolny, lecz o zbyt indywidualistycznych skłonnościach chłopiec Gleb i jego dwóch towarzyszy.

Oprócz tych pięciu filmów fabularnych zobaczymy bogaty zestaw

wartościowych i ciekawych filmów dokumentalnych.

„Wśród lodów oceanu” jest średniometrażowym barwnym filmem popularno-naukowym reżyserii światowego dokumentalisty radzieckiego A. Zguridiego, twórcy znanych filmów („Leśna opowieść” i „W piaskach środkowej Azji”). Tym razem Zguridi wprowadza widza w fantastyczny świat oceanu arktycznego.

Wśród filmów dokumentalnych również na uwagę zasługuje pasjonujący reportaż z budowy wielkiego Wołżańsko-Dońskiego Kanału Nawigacyjnego im. W. Lenina — jednej z pierwszych gigantycznych budowli komunizmu, przeobrażających przyrodę Związku Radzieckiego. Zobaczymy również jeszcze jedną kartę barwnego filmowego atlasu ZSRR „Radziecka Białoruś”.

Organizatorzy Festiwalu nie zapomnieli o naszych najmłodszych, opracowując kilka barwnych filmów rysunkowych. Są to: „Szkarałatny kwiatuś” oparty na starej bajce S. Aksakowa pod tym samym tytułem, „Kasztanka” opowiadająca o przygodach psa według opowiadania Czechowa i „Baika o dzieciach”.

Festiwal Filmów Radzieckich wykaże na pewno raz jeszcze, jak ciekawie rozwija się twórczość filmowa u naszego wschodniego sąsiada, jak bardzo związana jest ona z całością kształtem rozwoju życia społecznego i kulturalnego w Związku Radzieckim.

## W 25 rocznicę śmierci Antonina Sova

Antonin SOVA

### JESZCZE RAZ POWRÓCIMY

Jeszcze raz powrócimy zamyśleni; gdzie prędko

kwiat pachniał, aż zwiódł nas z drogi, gdzie ciemnym srebrem płynął nad potokami wieczór i jeszcze raz powrócimy

tam, gdzie słyszeliśmy pieśń z okien zwróconych na ciche ogrody.

I jeszcze raz znajdziemy ścieżkę jedyną i jeden gaj w górach

tak jasny wczesną jesienią w tyłu gwałtownych barwach,

będziemy szukać wśród krzewów zgubionych akordów echa

po cichym i giętkim kroku — czy skrytych nie ma tu śladów.

Dusza, w którą wgrzyły się wspomnienia, wyleje w trawę

tylę liryki sączonej w żywicznych kroplach,

gałęzie wysokie i ciemne wykąpie w jesiennym słońcu

i smukły pień wypręży w zmierzchu pod prędkie chmury; —

a wszystko to w chwili jednej, na ścieżce wąskiej, cienistej

w godzinę zachodu, która tak ścisza strudzone serce.

(z tomu „Jeszcze raz powrócimy” — 1900)

tłum. A. P.

## Wśród czasopism

TRUDNO jest śledzić rozwój polityki światowej bez oparcia się o poważne czasopismo naukowo-polityczne. Od sześciu lat mamy tego typu periodyk w postaci wydawanego przez Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, obecnie dwumiesięcznika — „Sprawy Międzynarodowe”. Naturalnie zadaniem takiego wydawnictwa nie powinno być podawanie bieżących wiadomości z dziedziny polityki światowej, lecz oświetlanie najważniejszych zagadnień w formie zasadniczych artykułów lub przeglądów. Najbardziej istotną wic rzeczą jest aktualność i szerokość problemów. Pod tym względem „Sprawy Międzynarodowe” stanęły już od paru lat na właściwej drodze.

Aby przekonać się o tym, wystarczy przejrzeć cztery numery dwumiesięcznika, które ukazały się w roku bieżącym. Nie pominięto w nich żadnego problemu, który nie ścigałby na siebie w tym czasie uwagi opinii międzynarodowej. Na pierwszy plan wysunęły się sprawy walki o pokój tak specjalnie nas interesujące zagadnienie niemieckie oraz problematyka imperializmu amerykańskiego.

Tak więc mamy artykuły omawiające „Kongres Narodów w Wiedniu” i obrady Światowej Rady Pokoju w Budapeszcie oraz ocenę VII Sesji Ogólnego Zgromadzenia ONZ ze specjalnym uwzględnieniem problemu koreańskiego.

Nie można się dziwić, że największej materii poświęconych jest sprawie niemieckiej. Artykuł redakcyjny z Nr 4 — „Począdam a nie Locarno” polemizuje z tezą Churchilla, iż przy rozwiązywaniu sprawy niemieckiej trzeba sięgnąć do założeń Locarno. Swego rodzaju podmurówką tych wywodów jest historyczny artykuł Bolesława Jaworznickiego „Locarno-Monachium-Bonn” (Nr. 2), wykazujący agresywne plany imperialistów, które się kryły pod „pokojowymi” frazesami umów locarneńskich i monachijskich. Istotny sens umów w Bonn wyjaśnia Mieczysław Lubowicz w artykule „Układ ogólny — akt odbudowy imperializmu niemieckiego” (Nr. 3). Na jedną drogę rozwiązania problemu niemieckiego wskazuje Karol Janicki w artykule „Pokojowe zjednoczenie Niemiec — kluczowy problem pokoju” (Nr. 4).

Ideologii imperializmu amerykańskiego poświęcone są przeglądy Zdzisława Sadowskiego „Neomaltuzjanizm” i Janusza Gołbiewskiego „Maccarthyzm, groźba, której

nie wolno nie doceniać”. Z tematem tym wiąże się żywo podana sylwetka polityczna obecnego sekretarza stanu USA, Johna F. Dullesa, pióra Jana Raciborskiego. Karol Lapter sięgnął do historii, aby omówić zakusy amerykańskie podporządkowania sobie Polski w artykule pt. „Plan utworzenia rządu polskiego w USA w latach I wojny światowej”.

Należy zwrócić uwagę redakcja „Spraw Międzynarodowych” na problematykę krajów kolonialnych i zależnych. Marian Michalski pisał o „Walcu imperialistów anglo-amerykańskich o naftę irańską”, Artur Herman — o „Walcu z rasizmem w Unii Południowo-Afrykańskiej”, a Jan Raciborski o „Ruchu narodowo-wyzwoleńcym w Czarniej Afryce”. Zofia Dobrska potraktowała gruntownie „Problem rolny w krajach gospodarczo zacofanych”.

Trudno zrozumieć wiele zagadnień międzynarodowych bez należytego orientowania się w sytuacji gospodarczej świata. „Sprawy Międzynarodowe” nie popuszczają błędu zasklepienia się wyłącznie w tzw. problematyce „politycznej” i dają nam np. bardzo ciekawe i źródłowe artykuły: Tadeusza Lychowskiego „Sytuacja gospodarcza świata w r. 1952” i Tadeusza M. Dąbrowskiego „O położeniu gospodarczym Europy”. Poza tym każdy numer zawiera przegląd najważniejszych wydarzeń międzynarodowych, w którym specjalny rozdział poświęcony jest Przeglądowi Gospodarczemu.

Dobrze prowadzony jest dział recenzji i omówień, referujący krytycznie najważniejsze prace zagraniczne i krajowe z dziedziny polityki międzynarodowej, historii nowożytnej, ekonomii i prawa. Wreszcie dla badaczy polityki międzynarodowej bardzo pożyteczne są przeglądy bibliograficzne i chronologiczne wydarzeń międzynarodowych, znajdujące się w każdym numerze.

Jak już zaznaczyliśmy, dla tego typu czasopisma specjalnie ważne jest troszczenie się o aktualność podawanego materiału. Jeżeli „Sprawy Międzynarodowe” czasami nie dają sobie z tym całkowicie rady, to głównie dlatego, że pismo jest dwumiesięcznikiem. Powinny więc sobie wyrazić nadzieję, że wydawcy zrealizują wkrótce dyskusyjny już dawno projekt przekształcenia pisma w miesięcznik.

S. Z.

# Kilka słów o:

LISTY Z NIE DALEKA

## Słowo o Don Kichocie

### UROCZYSTY WIECZÓR KU CZCI FRANCISZKA RABELAIS

W dniu 5 bm. w Państwowym Teatrze Kameralnym w Warszawie odbył się uroczysty wieczór poświęcony uczczeniu 400 rocznicy śmierci wielkiego francuskiego pisarza i humanisty, Franciszka Rabelais.

Na uroczystość przybyli członkowie rządu, przedstawiciele KC PZPR oraz liczni przedstawiciele świata naukowego i artystycznego stolicy.

Za stołem prezydalnym zasiadł Komitet Honorowy Obchodu oraz specjalnie na tę uroczystość przybyli goście zagraniczni: członek Światowej Rady Pokoju, wiceprzewodniczący Hinduskiego Komitetu Obrońców Pokoju — prof. Sahib Singh Sekey oraz przedstawiciel Francuskiego Komitetu Obrońców Pokoju, uczonego francuski, prof. Henryk Weber.

Po zagajeniu wieczoru przez przewodniczącego Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju Jarosława Iwaszkiewicza obszerne referaty o życiu i twórczości Rabelais na tle epoki Odrodzenia wygłosił prof. UW, Mieczysław Brahmner.

Następnie przemawiał prof. Henryk Weber — profesor literatury w Sorbonii.

### Prastyce NIEZWYKŁE ODKRYCIE



Ostatnio w Bułgarii podczas prac archeologicznych przeprowadzanych na wzgórzu Kazanlik odkryto grobowiec traktujący z IV wieku (przed Chr.) zachowany w nadzwyczajnym stanie.

Jak dotąd w muzeach bułgarskich niewiele można było znaleźć zabytków starożytnej sztuki Tracji; w większości wypadków zresztą były to tylko drobne przedmioty gliniane, brzoń lub metalowe ozdoby. Natomiast odkrycie w Kazanlik jest rewelacyjnym świadectwem małej znanej cywilizacji. Kopaliste sklepienie grobowca, o średnicy 3 m 50 cm, pokrywają freski przedstawiające sceny z życia młodego wojownika.

Nie ma drugiego malowidła ściennego z tej epoki, które by się równie dobrze zachowało. Tak żywa jest gra barw i skrawo odbijających od białego tła platformy, że wydaje się, jakoby artysta dopiero przed chwilą odłożył pędzel. Nigdzie nie widać najmniejszej rysy ani pęknięcia. Młody wojownik traktujący żegnającą żonę, która przygotowała ucztę pożegnalną. Rydwan wojenny czeka zaprzężony...

Nieżykłe wzruszenie ogarnia widza, gdy pomyśli, że freski te liczą już przeszło 25 wieków i że jest to najstarszy tego typu zabytek w Bułgarii.

### KONSERWACJA ZAKOPIAŃSKIEGO BUDOWNICTWA

Krakowskie władze konserwatorskie przystąpiły ostatnio do konserwacji i odbudowy piętnastu „zabytków” podha-

łańskiej architektury. Opieką konserwatorską zostaną objęte przede wszystkim najstarsze i najcenniejsze obiekty, takie jak: zespół chałup i budynków gospodarczych przy ul. Kosielskiej oraz piękny dom Sabaty. Prowadzone są również prace konserwatorskie przy willi „Pod Jodami” projektowanej przez S. Witkiewicza.

### WYSTAWA SZTUKI MEKSYKAŃSKIEJ

Po triumfach w Sztokholmie i Paryżu wystawa sztuki meksykańskiej została ostatnio otwarta w salach State Gallery w Londynie.

Jest to największa tego rodzaju impreza artystyczna, jaką dotąd Meksyk przedstawił zagranicą. Wystawa obejmuje nie tylko dzieła okresu prekolumbijskiego, ale też i sztukę współczesną. Krytycy podkreślają niesłychaną bujność tej sztuki i wciąż intrygujące badaczy powiązania jej z formami dawnych kultur Azji. W sztuce nowoczesnej natomiast odróżnić można dwie tendencje sprzeczne ze sobą: realistyczną, dążącą do ukazania życia i doli ludu meksykańskiego i drugą irracjonalną, symbolistyczną, nawiązującą do tradycji sztuki prekolumbijskiej. Szczególny podziw krytyki i publiczności budzi dzieło największego wśród współczesnych, malarza Diego Riwery.

### — filmie

#### NOWY FILM RADZIECKI

Na ekranach radzieckich ukazał się nowy film fabularny pt. „Gwiazda” produkcji Filmowej Wytwórni w Leninogradzie. Film jest adaptacją znanej powieści J. Kazakowicza, laureta Nagrody Stalinowskiej, pod tym samym tytułem. Treścią filmu są bohaterstwa czyni żołnierzy radzieckich podczas ostatniej wojny.

#### SATYRA NA „MONUMENTALIZM”

C. B. de Mill, twórca wielu amerykańskich filmów „historycznych”, specjalizuje się ostatnio w realizacji filmów o tematyce biblijnej, będących w dużej mierze profanacją tekstu Pisma Świętego. Ukoronowaniem tej gałęzi twórczości de Milla po „Dawidzie i Betsabei” był film pt. „Salome” z słynną „pin up” Ritą Hayworth w roli tytułowej. W tych „monumentalnych” filmach z zasady bierze udział tysiące statystów; dekoracje, kostiumy, honoraria artystów — kosztują tysiące dolarów, a wszystko razem robi wrażenie podniesienia rzeczywistości do monumentalnej potęgi bardzo złego gustu i hollywoodzkiej szmyry.

Włoski reżyser Mattoli chcąc wykpić ów monumentalizm gigantycznych kiczów C. B. de Milla, realizuje we Włoszech dowcipnie pomyślaną satyrę, która będzie nosiła tytuł „Najśmieszniejsze widowisko na świecie”. W filmie tym wystąpi m. in. znany włoski komik, Aldo Fabrizi.

**Z** APYTALES nie niedawno, czy jeszcze pamiętam o wzruszeniach, jakich dostarczała lektura naszego dzieciństwa. Mój Boże, cóż za pytanie! Jakżeby mógł zapomnieć o tych odległych a tak wciąż żywych bohaterach, którzy wladali wódm. czas moim marzeniem. Wystarczy przyznać, aby dostrzec jak Robinson Kruzo-

czę później księga ta nabiera odblasków niesamowitości. Od bijają się w niej, jak w czaro-dziejskim zwierciadle Merlina, rysy ogromnego szaleństwa; świat na opak, niepojęty a zaciekawiający jak sen.

Więc ostatecznie czymże jest ta książka Cervantesa? Jesli Hamlet, pisze Iwan Turgieniew, stanowi symbol wahań i wątpliwości, to rycerz starczy przyznać, aby dostrzec jak Robinson Kruzo-

gość niewoli, pełen przygód los wódczy, laska i nielaska, radość i trud.

Michał Saavedra de Cervantes dobiegał już pięćdziesiątki, kiedy powziął myśl dokonania rachunku swojego trudnego żywota. Spojrzył wstecz i cóż zobaczył? Pod gąszczem zdarzeń i dni, w murtach przemian i przygód, na dnie leżała gorzka: „Bardziej biegły w nieszczęściu niż w wierszach” — powie o sobie na stronie którejś ze swych ksiązek — „A sny są tylko snami” — „y los suenos, suenos son”, przypomni jeszcze werwet z dramatu Calderona.

Tak powstała koncepcja chaosnego szaleńca, który chciał świat przemienić na miarę własnego snu.

O niewielu książkach pisano tak dużo jak o tej. Medytował nad Don Kichotem Goethe, pisał o nim i Heine, i Turgieniew i Norwid...

Czy pamiętasz cudowny poemat Norwida, w którym ten twój ulubiony poeta przyznaje książce Cervantesa siłę eposu symbolizującą ideał całego pokolenia?

Z którego dzieł czytać się uczyłem Rycerzu — piosnkę  
uczyłem  
Spiewam i tobie.

Widzisz, rozpisalem się na temat ostatniego z błędnych rycerzy — co gorsze — nie powiedziałem dotąd nic na temat aktualności Don Kichota. Bo jeśli dziś tak chętnie wracamy do tej starej księgi, to jednak nie dlatego, żeby w niej odrywać na nowo sens ludzkiego życia; pociąga nas raczej obraz ówczesnego świata sportretowanego przez wielkiego mistrza, tak wspaniale, że nie tknęły tego obrazu upływające stulecia. Obraz szesnastowiecznej Hiszpanii z jej gospodami pełnymi chłopów i żołnierzy, z krajobrazem czarnym i żółtym od żaru, z drogami, przy których czają się rozbójnicy, z bramami, przez które ciągną poczyty brońcy i procesje, z jej miastami pełnymi zgiełku, z wioskami cichymi jak południowa drzemka. Cieszy nas po prostu sam opis rzeczy, ludzi, obyczajów, dróg, lasów i zamków. Bo realizm Cervantesa jest niepokonany.

Ale nie tylko ten urok konkretu decyduje o żywotności dzieła wielkiego Hiszpana. Jest w Don Kichocie jeszcze sąd nad epoką, jakże druzgocący, jak sprawiedliwy. Cervantes nie tylko duma i filozofuje; w ostrym świetle jego ironii wychodzi na jaw bezsilna mijających formacji społecznych, cała śmieśność i słabość średnio-wiecznego feudalizmu skazane go na śmierć, martwego już wtedy jak martwe i śmieśne były księgi o błędnym rycerstwie, zdolne ocarować tylko wyobraźnię maniaków.

Wybacz mi, proszę, ten list nazbyt odległy od spraw codziennego dnia, ale sam jesteś trochę wniem. Pytales przecie, czy pamiętam jeszcze bohaterów, których nam ukazały księgi dzieciństwa. Jak widzisz, Don Kichota nie zapomniałem.

Pora już kończyć, ale sądzę, że jeszcze powrócimy do tej wiecznie żywej postaci marzyciela z Manchy.

Na razie życzę Ci wielu pięknych wspomnień.

Twój Eryk



## Rok Odrodzenia

**P**AZDIERNIKOWA Sesja Naukowa poświęcona epoce polskiego Odrodzenia miała na celu zainicjowanie planowych prac badawczych nad tym okresem. W Sesji wzięli udział przedstawiciele wszystkich dyscyplin historycznych (historia, historia nauki, historia literatury, historia języka, historia sztuki). Materiały dostarczone przez Sesję (teksty wszystkich referatów oraz wypowiedzi w dyskusjach) będą udostępnione drukiem. Przewiduje się sześciotomową — około 200 arkuszy wydawniczych — edycję, która obejmie cały dorobek naukowy zgromadzony podczas obrad.

związku z Rokiem Odrodzenia wydawnictwo „Ossolineum” we Wrocławiu przygotowało szereg cennych publikacji, mających na celu udostępnienie narodowego dorobku kultury okresu Odrodzenia.

Praca prof. Kazimierza Budzika pt. „Z dziejów Renesansu w Polsce” rozpoczyna serię studiów staropolskich. Ukazał się również drugi tom tej serii „Reformacja a problem chłopski w Polsce w XVI w.”, opracowany przez Janusza Tazbira.

Cenną publikacją jest wydanie fonotypiczne „Pieśni” Jana Kochanowskiego. Przygotowywane jest również pełne wydanie Dzieł Wszystkich tego poety. Ta pomnikowa edycja składać się będzie z 2 czterotomowych części. Wydanie przygotowuje zespół uczonych pod kierownictwem prof. Władysława Floryana.

Z wydawnictw przygotowywanych na Rok Odrodzenia wymienić także należy tomik Biblioteki Narodowej w opracowaniu Witolda Taszyckiego pt. „Obrońcy języka polskiego” i Erazma z Rotterdamu „Pochwała głupca”, przekład E. Jędrkiewicza, w opracowaniu H. Barycza.

Wkrótce wyjdzie także z druku „Geneza polskiego języka literackiego w świetle dialektologii historycznej”, przygotowana przez Władysława Kuraskiewicza.

### uszystkim

#### ZGON FRIEDRICHA WOLFA

W Berlinie zmarł wybitny poeta i pisarz niemiecki, lauret nagrody państwowej, dr Friedrich Wolf.

Friedrich Wolf, członek i scenariusz filmowy „Profesorskiej Akademii Sztuk” i w 1950 r. jako w Berlinie, który przez ko współtwórca filmu „Rada swą bogatą twórczość wniósł bogów”.

Friedrich Wolf był pierwszym ambasadorem Niemieckiej Republiki Demokratycznej odznaczony nagrodą państwa w 1945 r. za dramat jej w Polsce

Redaguje zespół

Prenumerata miesięczna 4 — zł Kwartałna 12 — zł.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel. 860 11 860 12

Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3 Zam. 2354, 4-B.10887.